

Dom przywróconego
dzieciństwa

czytaj str. 3

Jak rozdzielano wczasy?

czytaj str. 8 i 9

Reportaż kryminalny

„Falszywy trop”

czytaj str. 11

Irena Jarocka:

Chciałabym być
Fibakiem...

czytaj str. 10

Giganci szos w Bielsku

czytaj str. 12

Kronika

TYGODNIK

ROK II

21(39)

27 V - 2 VI

BIELSKO-BIAŁA

CENA 3 ZŁ



Wanda Pielrewa z Suchoj Beskidzkiej: Wszystkie dzieci są nasze. Reportaż na str. 3

Foto: Bogdan Ziarko

*Matkom —
— wrystkiego Dobrego !!!*

DZIECI

O SWOICH

MATKACH

Przedszkolaki z Kóz

KASIA BODEK: — Moja mamusia chodzi czyściutko ubrana i codziennie chodzi do pracy, ale teraz nie chodzi, bo jest chora i moja mamusia w FSM-ie pracuje w samochodach małolitrażowych. Gdy przychodzi do domu, myje garnki i myje jeszcze podłogę.

ASIA MISKOWIEC: — Moja mamusia uczy w szkole, dwójce, wychowania fizycznego, jak wraca do domu myje podłogę, pierze no i, wiesza pranie. Chodzi uśmiechnięta i lubi sobie podśpiewywać przy pracy.

DOROTKA ORAWCZAK: — Moja mamusia chodzi zawsze czysto ubrana. Kocham ją bardzo, bo jest dla mnie dobra. Umiem jej pomagać. Garnki pomyc, pozamiatać.

ZBYSIO CARBOL: — Moja mamusia kupuje ubrania, ładnie mnie ubiera, czesze mnie, chodzi ze mną na spacer. Bardzo ją kocham. Jak będę całkiem duży, kupię jej sukienkę, spódniczkę i kamizelkę.

ZBYSIO SKRUDLIK: — Moja mamusia pracuje w aptece i sprzedaje leki. To jest bardzo trudna praca. Mamusia w domu sprząta i gotuje obiad. Najlepiej. Najbardziej ją lubię za to, że mnie puszcza na pole, a jak mamusia idzie po mleko, a tatuś leży, to ja myję garnki i kupuję chleb.

EWA KOWALSKA: — Mamusia jest pielęgniarką. Po południu jej nie ma, ale jest tatuś. Moja mamusia jest dobra, kochana, idzie z nami do przedszkola.

GRAŻYNA ZONTEK: — Moja mamusia pracuje w stolarni, jest dla mnie dobra, ciężko pracuje, a ja jej czasem pomagam. Najbardziej życzę jej zdrowia i dużo pieniędzy, bo mamusia zawsze mówiła, że jak będzie miała dużo pieniędzy, to by sobie kupiła samochód.

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)

Czekając na mieszkanie

Mieszkanie: jedna z podstawowych potrzeb człowieka. Jej rozwiązanie stanowi kardynalny warunek rozwoju społeczeństwa i jednostki, umocnienia więzi rodzinnych. Nic dziwnego, że polityka mieszkaniowa — tak właśnie: polityka! — stała się jednym z centralnych problemów strategii społecznej Partii. Uchwały VI i VII Zjazdu PZPR uznają poprawę sytuacji mieszkaniowej ludności — jako kardynalne zadanie społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. Zadanie to obejmuje przede wszystkim dostarczenie ludziom pracy odpowiedniej liczby mieszkań, ale również — mieszkań godziwym standardem, wyposażeniem i wykończeniem oraz wielkością.

W mało której dziedzinie, zaległości były tak wielkie, społeczne oczekiwania tak ogromne — jak właśnie w budownictwie mieszkaniowym.

W mało której dziedzinie uczyniono w minionym sześciu latach tak wiele — jak właśnie w budownictwie mieszkaniowym.

Ten nienotowany postęp ma swoje źródło w zainicjowanym przez przywódcę Partii i Narodu towarzysza EDWARDA GIERKA historycznym przedsięwzięciu budowy drugiej Polski.

W Bielskim problem mieszkań występuje ze szczególną ostrością. Mówiąc otwarcie: szybki przyrost subsekcji mieszkaniowej stanowi tutaj

warunek uzyskania założonego wysokiego tempa wzrostu produkcji przemysłowej, optymalnego wykorzystania już istniejącego i nowo tworzonego potencjału produkcyjnego we wszystkich dziedzinach, w konsekwencji zaś — rozwoju społecznego, poprawy poziomu życia mieszkańców.

Wrześnie Plenum KW PZPR w 1976 roku uchwaliło rzeczowy i ambitny program rozwoju budownictwa mieszkaniowego do 1980 roku.

Patrząc na sprawę z punktu widzenia potrzeb mieszkaniowych — stwierdzali uczestnicy Plenum — żyjemy w specyficznym województwie. Mało gdzie, jak u nas, tak ogromna masa ludzi dojeżdża do pracy w miastach, tracąc wiele sił przez fakt znacznego oddalenia domu od fabryki, a także — warto zdać sobie sprawę — gromadząc drogę do szybkiej przebudowy strukturalnej wsi, a tym samym hamując rozwój bielskiej gospodarki żywnościowej. Społeczność województwa jest przy tym bardzo młoda — stąd wyższa od przeciętnych wskaźników liczba zawieranych małżeństw. Zaś każda nowa rodzina, to kolejne pragnienie własnego mieszkania.

Budujemy w naszym regionie dużo. Kiedy przegląda się statystyki, można być zadowolonym. Lecz w rzeczywistości, dużo znaczy mało. Wciąż za mało.

Do końca bieżącego pięciolecia powstanie — co do tego istnieje gwaran-

cja — ponad dwadzieścia tysięcy izb mieszkalnych. Ale w tym samym czasie, bilans potrzeb mieszkaniowych osiągnie prawie dwakroć taką wielkość. Czyż trzeba więcej, aby zdać sobie jasno sprawę, że każdy dodatkowy metr kwadratowy jest i będzie na wagę złota?

Uchwała wrześnie Plenum KW, programująca sposoby przyspieszenia budownictwa mieszkaniowego, zawiera sformułowanie, że — liczyć się będzie każdy pomysł, każdy istotny postulat, każde nowatorskie działanie i koncepcja, które w efekcie służyć będą pomnażaniu zaplanowanych wielkości mieszkań, ich ilości, należytego wykorzystania, humanizacji życia w nowych osiedlach.

Wszystkie z tych istotnych postulatów Partii odnoszą się wprost do działalności spółdzielczości mieszkaniowej, stanowiąc dla niej bezwzględny wytyczną.

Partia oczekuje i będzie konsekwentnie wymagać od spółdzielczości mieszkaniowej pomysłowości, żelaznego dyscyplinowania, ambicji, działań skutecznie zmierzających nie do wykonania, lecz przekroczenia zadań.

Spółdzielczość mieszkaniowa woj. bielskiego stanowi dzisiaj znaczną siłę. Składa się na nią 14 jednostek organizacyjnych, skupiających prawie trzydzieści pięć tysięcy członków. Z tego ponad dziesięć tysięcy — oczekuje na mieszkania. Doliczając kandydatów,

liczba oczekujących przekracza dwadzieścia tysięcy.

Te liczby nie wymagają komentarza.

Wymagają po prostu — pracy, pracy i jeszcze raz pracy.

A kiedy o tej pracy mówimy, mamy na myśli zarówno konieczność rytmicznej realizacji inwestycji mieszkaniowych, jak i potrzebę znaczącego zaostrzenia rygorów jakościowych przed oddaniem ludziom nowych mieszkań. A także: nie zapominajmy na chwilę, że administracja spółdzielczych osiedli jest po to, aby służyć spółdzielcom. I również — zajęcie się problemami inwestycyjnymi, technicznymi i administracyjnymi nie może prowadzić do pomijania obowiązków budzenia poczucia wspólnoty i współodpowiedzialności wśród osiedleńców. Ani, na koniec, do zaniedbania praktyk samorządowych, które będąc idea socjalistycznej spółdzielczości mieszkaniowej.

Wprowadzić człowieka do nowego mieszkania, to dopiero początek. Przemysłem musi się on wprowadzić do wspólnoty osiedlowej.

Jutro odbędzie się w Bielsku-Białym I Wojewódzki Zjazd Delegatów Komitetu Budownictwa Mieszkaniowego. Powinien on nie tylko podsumować dotychczasowy spór dorobek, ale przede wszystkim — spreżywać siły do optymalnego rozwoju „mieszkańców”, ustalić miejsce i rolę spółdzielczości w całokształcie społeczno-gospodarczej i kulturalnej przebudowy regionu.

Musi się to stać początkiem nowych, dobrych praktyk, sprawdzalnych na każdym placu budowy i w każdym ożywionym osiedlu.

Na zdrowie!

Potrzeby służby zdrowia rosną szybciej niż aktualne możliwości państwa. Lepsza jakość świadczeń usług leczniczych jest uwarunkowana dalszą rozbudową specjalistycznej bazy leczniczej, co możemy osiągnąć jedynie poprzez zespolenie wysiłków państwa i społeczeństwa. W tej materii nabiera odpowiedniego znaczenia dla wszystkich Polaków idea społecznej zbiórki na rozwój i modernizację służby zdrowia, realizowana przez Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Idea ta zyskuje z roku na rok coraz powszechniejsze poparcie ogółu społeczeństwa kraju. Dowodem tego są zwiększające się dochody uzyskiwane ze świadczeń obywateli. Jest to jednocześnie wyrazem integracji społeczeństwa wokół tak żywotnego problemu, jakim jest ochrona zdrowia.

W tej społecznej aktywności mającej na celu zaspokajanie stale wzrastających potrzeb w zakresie tworzenia nowoczesnej bazy leczniczej społeczeństwo województwa bielskiego zajmuje czołowe miejsce. Jest to czynnik niezwykle ważny, albowiem należymy do nielicznych gron województw o najniższych wskaźnikach rozwoju bazy materialnej ochrony zdrowia i pomocy społecznej. Przypomnijmy: w zakresie liczby łóżek szpitalnych w przeliczeniu na 10 tysięcy mieszkańców średnia krajowa wynosi 65,6, natomiast w naszym województwie zaledwie 44,5. Dodajmy: poważny niedobór miejsc występuje także w domach pomocy społecznej, przede wszystkim w domach rencistów i domach

specjalnych. Trochę lepszą sytuację mamy w zakresie otwartej opieki zdrowotnej, bowiem na jeden ośrodek zdrowia przypada u nas 5,5 tys. mieszkańców przy średniej krajowej 4,7 tys. mieszkańców. Istnieje tu jednak poważna dyferencja w poszczególnych rejonach województwa.

Przed dwoma laty, na jednym z pierwszych posiedzeń Prezydium WK Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia przyjęto program, któremu poświęciliśmy dwa główne cele: osiągnięcie powszechności i pełnej wysokości świadczeń na rzecz NFOZ oraz przyspieszenie rozbudowy materialnej bazy służby zdrowia przy maksymalnym wykorzystaniu zaangażowania i ofiarności społeczeństwa. Można powiedzieć, że w tym zakresie zanotowaliśmy bardzo dobre rezultaty, szczególnie w realizacji zbiórki na NFOZ. Zebraliśmy w 1976 r. 57 mln 425 tys. zł, co stanowi 123,2 proc. wykonania założonego planu rocznego. Główną pozycję stanowią tu świadczenia w grupie „pracownicy od wynagrodzeń”.

Nie jest jednak rzeczą obojętną w jakim procencie poszczególne zakłady zadeklarowały swój udział w świadczeniach na NFOZ. W chwili rozpoczęcia działalności Wojewódzkiego Komitetu NFOZ niemal wszystkie zakłady pracy rejonów oświęcimskiego, wadowickiego oraz częstochowskiego i żywieckiego świadczyły zaledwie w wysokości 0,25 proc. planu, przy jednoczesnej niepełnej powszechności. Jednak mimo uzyskania bardzo dobrych wyników w zakresie powszechności i pełnej

wysokości świadczeń w grupie „pracownicy od wynagrodzeń” stawiających nasze województwo w czołówce krajowej, w dalszym ciągu w 63 zakładach pracy wysokość świadczeń wynosi poniżej 0,5 proc. planu, przeważnie 0,25 proc. planu. W grupie tych zakładów znajdują się m. in. ZPW „KENTEX” w Kętach, „ZAM” w Kętach, Południowe Zakłady Przemysłu Skórzanego Chelmek, Zakłady Chemiczne Oświęcim, ZOZ Wadowice, Odlewnia Żeliwa Węgierska Górka.

Coraz realizujemy plan NFOZ w rolnictwie, gdzie nie uzyskaliśmy pełnego wykonania planu, mimo iż założony w planie wskaźnik obliczony w stosunku do przychodowości indywidualnych gospodarstw rolnych stawia nas dopiero w trzeciej dziesiątce województwa. Podjęte kroki zaradcze przyniosły pewną poprawę w br. Dowodem tego jest uzyskanie wpływów do 31 marca w wysokości 1.817 tys. zł, co stanowi 60,6 proc. założonego planu zbiórki.

Tymczasem województwo wymaga szybkiej poprawy bazy materialnej służby zdrowia. W ubiegłym roku realizowaliśmy 13 obiektów służby zdrowia, finansowanych w całości lub częściowo ze środków NFOZ. M. in. z tych środków zbudowano i oddano do użytku społeczeństwa w 1976 roku przychodnię rejonową w Lipniku i ośrodki zdrowia w Miłkowie i Rudzicy.

Na rok bieżący wpływy na NFOZ winny być wyższe od uzyskanych w 1976 r. efektów zbiórki i powinny osiągnąć kwotę 57 mln 470 tys. zł. Przewidujemy, że wskaźnik wysokości świadczeń w grupie „Pracownicy od wynagrodzeń” wyniesie powszechnie 0,5 proc. planu. Planowane na 1977 r. nakłady inwestycyjne wyniosą 27.571 tys. zł i są wyższe od przyznanych w roku ubiegłym o 67,6 proc. W planowanej kwocie przewidujemy 4.030 tys. zł na

zakończenie zadań resortu oświaty, wykalkulowanych z zobowiązań byłego Spółnego Funduszu Budowy Szkół i Internatów. Zgodnie bowiem z zaleceniami Krajowego Komitetu NFOZ, realizacja zadań resortu oświaty musi być zakończona do końca br.

Obserwujemy pewną poprawę w realizacji inwestycji służby zdrowia, zwłaszcza w przestrzeganiu normatywnych wytycznych, co wiąże się z tworzeniem gminnych бригад budowlanych. Wyczuć o aktualne zaawansowanie robót, czy suponować że liczba planowanych oddania obiektów służby zdrowia w tym roku się dwa zadania. Efektami realizacji w tym roku w województwie bielskim, hotel dla pielęgniarek w Istebnej, ośrodki zdrowia w województwie bielskim.

Chcemy nadal intensywnie poszerzać nasz stan posiadania. W latach 1977-1980 przewidujemy realizację 25 zadań inwestycyjnych służby zdrowia, finansowanych w całości lub częściowo ze środków NFOZ. Plan ten uwzględnia maksymalne wykorzystanie dochodów do województwa społeczeństwa naszego województwa. W bieżącej pięcioletniej inwestycji planujemy wydatkować kwotę 313 mln zł, z czego 200 mln zł przeznaczamy na budowę szpitala wojewódzkiego, którego rozpoczęliśmy w 1979 lub 1980 roku. Planu wprowadziliśmy dodatkowo w planie przychodni rejonowej w Andrychowie. Inwestycja ta będzie w całości finansowana ze środków NFOZ.

Wielkość potrzeb wymagających zaspokojenia, żywe odczucie rosnących potrzeb krytyczna świadomość istniejących trudności i możliwości stanowią cenną i nieocenioną przesłankę dalszego działania NFOZ i całego społeczeństwa regionu bielskiego.

Społeczne Komisje Pojednawcze

Ogólnopolski Komitet FJN i WK FJN w Bielsku-Białej były organizatorami okręgowej konferencji przewodniczących wojewódzkich zespołów do spraw Społecznych Komisji Pojednawczych z jedenastu województw południowej Polski: Bielska-Białej, Częstochowy, Katowic, Kielc, Krosna, Krakowa, Nowego Sącza, Przemyśla, Rzeszowa, Tarnobrzegu i Tarnowa. Konferencję przewodniczył dr Stanisław Jórdeczka — przewodniczący WK FJN w Bielsku-Białej, zaś referat problemowy z wytycznymi do działalności Społecznych Komisji Pojednawczych wygłosił dr Michał Kulczycki, członek Ogólnopolskiego Komitetu FJN.

Droga obywatela ze skargą do komisji pojednawczej wcale nie jest taka krótka, jakby się wydawać mogło z cyfr, które podaje statystyka. Odnosi się to głównie do wsi, gdzie w wyniku dokonywania reorganizacji administracji i tworzenia dużych, mocnych gmin,

dopuszczano, zupełnie niepotrzebnie, do likwidacji działających do chwili reformy administracyjnej wiejskich komisji pojednawczych, stojących najbliżej spraw obywateli. Na szczęście w porównaniu z innymi regionami kraju — województwo bielskie ustrzegło się tych błędów, dzięki czemu mamy jeden z najlepszych w Polsce wskaźników działających Społecznych Komisji Pojednawczych i — co ważniejsze — załatwionych przez te komisje spraw. Regres, jaki zanotowano w większości województw pociągnął za sobą spadek ilości rozpatrywanych spraw a także wyraźny spadek spraw kierowanych do Społecznych Komisji Pojednawczych przez samych obywateli. Zwiększyła się natomiast liczba spraw kierowanych do SKP przez prokuratury i sądy.

Tymczasem instytucja Społecznych Komisji Pojednawczych powinna swą działalność opierać głównie na terenie samorządzie mieszkańców, tak aby obywatel szukający społecznej pomocy

mediacyjnej miał jak najprostszą drogę do SKP. Przeshkodą, która również utrudnia działalność SKP jest słabe zainteresowanie pracą komisji przez czynniki powołane do niesienia pomocy tego rodzaju instytucjom. Wynikiem tego SKP działają niemal że w osamotnieniu, za mało mają bowiem prawdziwych sojuszników. A można by ich znaleźć chociażby wśród działaczy oświatowych, straży pożarnej, agromówków. W każdym sołectwie istnieją warunki do odpowiedniej popularyzacji SKP. Zamiast do kolegów oczekujących i do sądów wiele spraw można by bezkonfliktowo rozwiązać już w samych zarodku. Tymczasem w roku ubiegłym do wiejskich SKP wpłynęło o 11 tysięcy mniej spraw niż w 1975 r.

Zgodnie z wytycznymi Sekretariatu Ogólnopolskiego Komitetu FJN należy rozbudowywać sieć Społecznych Komisji Pojednawczych w większych wsiach na terenie gminy. Podobnie jak dzieje się to w miastach SKP winny tu ściśle

współpracować z samorządem mieszkańców.

W woj. bielskim działa sześć nowych Zespołów d/s SKP, które wiodą swą pracę w oparciu o rejonowe sądowno-prokuratorskie. Ogółem w 263 SKP, z czego 59 w miastach i 204 w wsi. W stosunku do 1975 r. liczba SKP wzrosła u nas o 14, co sprawiło, że województwo bielskie wysunęło na drugie miejsce w kraju pod względem liczebności SKP. Do SKP wpłynęło 2284 sprawy, co stawia od czwartym miejscu w Polsce. Od osiedleńców wpłynęło do SKP bezpośrednio 65 proc. wszystkich spraw. Od nas w woj. bielskim ma tylko Kraków — 65 proc. i Rzeszów — 70 proc. Ugoda została zawarta w 65 proc. spraw. W woj. bielskim w Polsce mają tylko Kielce i Wrocław.

Planem zadaniem roku 1977 jest zwiększenie liczby współpracowników — sojuszników SKP, organizacja szkoleń dla przewodniczących i członków terenowych SKP, pomoc inżynierska w każdej pojedynczej potrzebie ze strony Zrzeszenia Prawników, aktywny udział rejonowych zespołów d/s SKP w rozwoju życia społecznego na ich terenie.

...0 swoich

MATKACH

(DOKOŃCZENIE ZE STR 1)

Uczniowie trzech pierwszych klas szkoły zbiorczej w Buczkowicach:

AREK FEJDYCH (kl. I): — Mamusia chodzi do szkoły. Jest dobra, bo mnie lubi, dużo dla mnie robi, pomaga mi też trochę w nauce. Bardzo dobrze gotuje. Czasami trochę posprząta.

MARIUSZ SZUTA (kl. II): — Mamusia nie pracuje. Pierwsza wstaje, pali w piecu, gotuje, opiekuje się nami i zawsze nam pomoże i mówi żebyśmy się nie martwili.

DANUTA PIEKON (kl. II): — Moja mamusia bardzo ładnie szyje. Pracuje w Szczyrku. Dla mnie też szyje i dla Iwonki, Halinki, Hani i Piotrusia. My wszyscy pomagamy w domu.

ANNA ADAMUS (kl. II): — Mamusia jest chłupniczką. Teraz robi maty łazienkowe i ja jej trochę pomagam. Ja swoje rzeczy pierę i prasuję sama. Mamusia w niektórych miesiącach jest przepracowana, bo robi dwie normy. Zawsze stara się mnie pocieszyć, kiedy jestem smutna. Zawsze mi dobrze poradzi. Jeśli nie może spełnić mojej prośby, to stara się mi wytłumaczyć, że to nie jest mi potrzebne, albo tego nie może spełnić. Nie jest surowa. Jest dobra.

MONIKA BELTOWSKA (kl. III): — Mamusia pracuje w aptece. Jest dobra. Jest ładna i wesola. Nie lubię jak jest zła, bo jest niezadowolona ze mnie, a kiedy ją przeproszę jest znowu wesola.

Studenci IV roku Filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej:

ANNA KRYWULT: — Moja matka to zupełnie zwyczajny człowiek, z którym dzielę się wszystkim, co przeżywam. Ona się ze mną cieszy i ze mną martwi. Pracowana, ciągle zagoniona. My przychodzimy na gotowe, ona prowadzi dom. Jest nerwowa i to na pewno przez nas, ale i serdeczna. Zawsze można się do niej zwrócić doświadczenie ze wszystkim. Wiem, że byłaby najszczęśliwsza, gdybyśmy my byli szczęśliwi.

ARKADIUSZ JANUSZYK: — Moja mama to przede wszystkim mój przyjaciel. Miała ze mną dużo kłopotów, bo — jako dziecko — zawsze sobie coś potłukłem, złamałem... Wiem, że praca w domu i nasze sprawy kosztują ją dużo zdrowia i może dlatego staram się nie wlatemniczyć jej w moje kłopoty czy sprawy osobiste. Uważam, że są problemy, które mogę i powinienem sam rozwiązać i tymi nie niepokoję jej. Jeśli nie mogę sobie poradzić, to wtedy — niestety — trzeba się zwrócić po radę do mamy. Mamie zawdzięczam to, że jestem taki, a nie inny. Że rodzice nie muszą się mnie wstyżać. Zawdzięczam to także dobrej atmosferze naszego domu.

popyt. Niezrozumiały tylko wydaje mi się fakt, że za naszą produkcję Centrala Handlu Zagranicznego, zamawiająca u nas meble, nie płaci, my zaciągamy pożyczki i sami spłacamy wysokie procenty. Głośno o tym w zakładzie.

— Ponieważ i nam wydaje się to trochę niezrozumiale, postaramy się wkrótce szerzej zająć tym tematem. Od spraw dotyczących samej produkcji przejdźmy jednak do innych. Na przykład — mieszkania...

— Fabryka znana jest z tego, że wiele ostatnio robi w tej sprawie. Jest to w końcu problem bardzo wielu naszych pracowników. Mamy już kilka budynków, w sierpniu oddane zostanie do użytku przedszkole, wybudowane przez własną brigadę, a w 1975 roku wystawiliśmy piękny pawilon handlowy. Słyszałem, że w tym roku odda się do użytku pracownikom fabryki około trzydziestu mieszkań.

— Pan również czeka na swoje „em”?

— Ja mieszkam we własnym domu w Nałęczu. Lubię się kręcić koło domu, pielęgnować swoją zieleni. Lubię odpoczywać w swoim ogródku.

— A jest po czym odpocząć...

— Warunki pracy nie są złe, ale roboty coraz więcej, a pomieszczeń nie przybywa. Staje się trochę ciasno w zakładzie. Narzekamy też na niezbyt dobrą wentylację. To jeżeli chodzi o warunki pracy. Inne kłopoty, to brak niektórych drobnych części do maszyn sprowadzanych z importu. Kiedyś fabryka miała swoje konto dewizowe i sami dokonywaliśmy potrzebnych zakupów, teraz jest gorzej z powodu głupiej czasami części wynikają poważne straty.

— A w jaki sposób fabryka opiekuje się rencistami?

— Domyślam się, o co panu chodzi. O naszych rencistów dba zresztą nie tylko nasza fabryka, ale również... pańska gazeta. Pamiętam, że parę dobrych miesięcy temu w „Kronice” ukazała się krótkość notatka pod tytułem „Studnia”. Pamiętam ją tutaj dobrze. Dotyczyła studni w tak zwanej kolonii, czyli starych domkach, w których mieszka sporo naszych rencistów. Mogę pana poinformować, że w domkach jest już woda i gaz, a więc w sumie nie najgorzej. Myślmy też w zakładzie o przeniesieniu mieszkańców kolonii do nowych budynków, ale parę lat będą jednak musieli jeszcze w kolonii wytrzymać.

Rozmawiał
PIOTR WYSOCKI

WŁADYSŁAW CZAJA

Dom przywróconego dzieciństwa

Państwo Pieterowie mieszkają w niewielkim miasteczku, przy bocznej ulicy. Traficił tu ławo, bo dom państwa Pieterów znany jest w Suchoj dosłownie wszystkim. Piękna, przestronna willa robi wrażenie domku z bajki, bo jak zdradził mi chłopczyk, który zszedł z roweru, żeby wskazać nam dom państwa Pieterów, zawsze tu pełno dzieci „z panią nauczycielką”. Wokół willi piękny ogród, pełno zieleni i kwiatów. Węć to tutaj — powiedziałem, naciskając guzik domowego dzwonka. Niestety furtka pozostała zamknięta, nikt nie otwierał drzwi. Z przedziałka uchyliło się okno — jakaś pani wy-

— Pani Pieterowa wyszła do sklepu. Za moment będzie z powrotem.

Postaliśmy chwilę przed domem, towarzysząc nam pracownik Urzędu Miejskiego zapalił papierosa. Nie zdażył go, bo już otwierała bramkę, prosząc nas do pod nazwą Rodzinnego Domu Dziecka Wiedzałem, jakie są organizacyjne założenia takiej placówki, komu ma służyć i jak powinna być prowadzona. Teraz miałem się spotkać bezpośrednio z człowiekiem, który tą placówką kieruje.

Pani Wanda Pieterowa jest pedagogiem, jak się mówi — z urodzenia. Drzewo genealogiczne rodziny prowadzi do niezbi- niej nauczycielami. Pani Wanda jest ducy z tego, że jeszcze teraz, kiedy zakończyła już pracę w szkole i korzysta z re- mniejszym, najbardziej potrzebującym opiece i matczynego serca. Kiedy zaraz po wojnie znalazła się na północy kraju, mien- nalekiej wiosce Buczkowice, nie przypu- dem lat. Ale nie mogła się oderwać od niej. Prowadziła wtedy szkołę jednoklaso- wną. Była zarazem nauczycielką i kierow- sprzątała. Bo po wojnie w takich wła- się odbywała. A potem przyszły cztery la- decyja życiowa: pani Wanda wychodzi za mąż, również za nauczyciela. I znowu 16 lat, mozołnych, ale przynoszących dużą sa- tyślatki lat nauczania w szkole w Ujso-

— Wychowaliśmy dwoje własnych dzie- ci: Małgosia i Jacka. Są już osobami doro-

stymi, samodzielnymi, można więc było oddać część matczynego serca dzieciom najbardziej potrzebującym ciepła rodzinnego domu, dzieciom opuszczonym, porzuconym, sierotom społecznym. Decyzję podjęliśmy wspólnie z mężem Eugeniuszem, córką Małgorzatą i synem Jackiem.

Pani Wanda z nieukrywaniem wzruszeniem opowiada jak to w 1972 r., kiedy Jacek i Małgosia byli już na studiach, pojechała do Tarnowa z propozycją zaopiekowania się dwojgiem dzieci z Domu Małego Dziecka. W problemami dzieci opuszczonych, znajdujących się w najtrudniejszych warunkach, dzieci — sierot, zetknięta się już w czasie swej wieloletniej działalności jako społeczny kurator d/s nieletnich.

— Agatka miała wtedy trzy lata. Tuliła się do mnie, jak do kogoś najbliższego. Miała duże, ciemne oczy, bez wyrazu. Objętnie patrzyła przed siebie, trzymając paluszek w ustach. Nie umiała jeszcze mówić. Była dzieckiem upośledzonym, tak samo jak 5-letni Wojtuś, który prócz kilku najprostszymi wyrazów, nie znał żadnych innych słów. Najczęściej powtarzał słowo „pani” albo „ciociu”. Słowa „Mama” nie znał. Dopiero teraz, po dwóch latach pobytu w naszym domu Wojtuś i Agatka nauczyli się mówić i wykonywać proste czynności. Agatka sama umie założyć sobie fartuszek, a Wojtuś zasnurować trzewiki. Teraz nie boją się już ludzi. Bawią się razem z innymi dziećmi.

Po dalszych dwóch latach zdecydowaliśmy przyjąć do siebie dalszą dwójkę dzieci. Była to czterolatka Ewelina i czterolatni Krzysztof. Dzieci przebywały do tej pory w Domu Małego Dziecka w Bielsku-Białej. Prócz własnych, dorosłych już — miałam znowu czwórkę dzieciaków, których niejedna rodzina mogłaby mi pozazdrościć. Dzieci wychowują się w gromadce dobrze, ale wymagają stałej troski, bezpośredniej opieki i pomocy. Już po decyzji o utworzeniu u nas Rodzinnego Domu Dziecka oddało nam wiele kłopotów. Państwo — bezpośredni Kuratorium bielskie — zapewniło dzieciom całkowitą opiekę. Poności koszty tej opieki, stara się stworzyć dzieciom i mnie jako wychowawczyni odpowiednie warunki tej opieki.

Dzieci rosną — Wojtuś pójdzie po wakacjach do szkoły. Agatka ma już pięć lat i razem z Ewelina uczęszcza do przedszkola...

Rozmowę przerywa nam Agatka, która z rozmachem otwiera drzwi. Okazuje się,

że dziecko położyło laleczkę na tapczaniku i nie mogło jej odnaleźć. Przy okazji obejrzelśmy pokój maluchów. Cztery łóżeczka dziecięce świeżo zasłane, i tapczanik.

— Dla kogo ta piąta pościel? — pytam. Dzieci jest przecież czworo...

— Oj, nie... Jest już piątka. Wczoraj przywiozłam z Domu Dziecka Joleczkę, która za dwa miesiące będzie miała trzy lata.

Rzeczywiście, Jolka od razu przybiegła, słysząc głos „pani”. Dostała cukierka, tak samo zresztą, jak pozostała trójka, bo Wojtuś jest nieobecny. Przebywa chwilowo w sanatorium. Pokój jest przestronny, czystutki, z dywanem na podłodze. Na ścianach obrazki z kolorowych bajek. Dużo zabawek. Dzieci przyglądają się nam z uwagą. Pani Wanda chce podać herbatę. Dyskretnie przechodzimy do pokoju gościnnego. Spoza drzwi dolatuje nas wesoły śmiech Eweliny.

Zastanawiam się przez moment jakie cechy osobowe powinna reprezentować taka właśnie „mama”, która zmieściła wszystkie dzieci w jednym sercu — te swoje, i te przybrane, które też są już jej dziećmi. Opieka nad maluchami, i to w dodatku nad dziećmi ułomnymi, wymaga olbrzymiego samozaparcia, ogromnej cierpliwości, życzliwości, serca. Taka „mama” musi kochać dzieci, musi bardzo kochać dzieci, musi łączyć miłość do dziecka z poczuciem obowiązku. Musi je po prostu kochać zawsze, wtedy kiedy się bawią, kiedy płaczą, kiedy śpią, kiedy kapryszą, kiedy są krnąbrne.

W Rodzinnym Domu Dziecka pani Wandy i Eugeniusza Pieterów wszystkie dzieci są jednakowo troskliwie otoczone opieką. W dniu 1 czerwca, na Dzień Dziecka, dojdzie do „piątki” szóste dziecko. Będzie to oczywiście sierota z Domu Dziecka.

Dzieci pani Wandy przyjęte zostały przez środowisko bardzo przychylnie. Interesują się nimi sąsiedzi, bawią się z nimi dzieci rodzin z okolicznych domów. Nie potrafią jeszcze dość dobrze wyrazić swej wdzięczności „mamie”, ale robią to na pewno, kiedy będą większe. A pani Wanda nie zamierza rozstać się z nimi przed usamodzielnieniem, przed osiągnięciem przez nie pełnoletności. Wymaga to olbrzymiego wysiłku z jej strony. Nie mówi o tym. Jest skromna. Ale wszyscy wiedzą, ile praca ta wymaga poświęcenia, ile zachodu, ile czasu i rezygnacji, z własnych planów ile wyrzeczeń...

MÓWIA ROBOTNICY

Główni mebli
pod wybredne gusta

Bogusław Bożek pracuje w Fabryce Mebli Giętych w Jasienicy od 1960 roku jako frezer drewnianych elementów na frezarcze, a ostatnio wykonuje te same prace do krzesła typu „Jar” — nowości, którą właśnie na tych krzesłach będziemy już wkrótce siedzieć. Jeśli tak, to pamiętajmy, że górne szczelby na krzesła wykonał między innymi Bogusław Bo-

— Czy po tym ostatnim stwierdzeniu nie jest pan przypadkiem zaniepokojony?

— Nie mam powodu. Przez siedemnaście lat pracy wykonywałem wszystko tak, by nikt nie miał jakichkolwiek pretensji. Tak samo zresztą, jak moi koledzy.

— Ktoś nie, do jakości produkowanych przez waszą fabrykę mebli nie ma żadnych zastrzeżeń.

— Wie pan o tym, że każdy bujak i każde krzesło, który długo czekać w sklepach na klienta. Około 53 procent naszych wyrobów trafia też do równie wybrednych i bardzo wymagających odbiorców zagranicznych. Nie słyszałem nic o żadnych reklamacjach, co chyba najlepiej świadczy o naszej pracy. Inna sprawa, że ostatnio niepokoja nas magazyny fabryczne, pełne niewystawianych towarów...

— Mówi pan również o tych wszędzie poszukiwanych bujakach?

— Także i o nich. Myślę, że są jakieś ogólniejsze powody, dla których — chwilowo chyba — zmienić się



Sytuacja rynkowa w województwie bielskim



Minister handlu wewnętrznego i usług Adam Kowalik w towarzystwie gospodarzy województwa — i sekretarza KW PZPR Józefa Buzińskiego i wojewody Józefa Łabudka na wystawie w Urzędzie Wojewódzkim.

Problemy zaopatrzenia rynku wewnętrznego oraz realizacji postanowień podjętych w tej sprawie na krajowej konferencji aktywności partyjno-gospodarczej w styczniu bieżącego roku były przedmiotem niedawnej wojewódzkiej narady, jaka z udziałem ministra handlu wewnętrznego i usług, Adama Kowalika, odbyła się w Bielsku-Białej. Naradzie przewodniczył I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii, Józef Buziński.

Analizy i oceny działań podjętych dla poprawy zaopatrzenia regionu bielskiego dokonał wojewoda bielski, Józef Łabudek. Nasz rynek wojewódzki cechuje się wysoką siłą nabywczą ludności. Ma to swe źródła w intensywnie rozwijającym się przemyśle i znacznie rozwinętym

ruchu wczasowo-turystycznym.

Poszukując możliwości wzbogacenia rynku, instytucje handlowo-usługowe województwa skupiły się przede wszystkim na intensyfikacji własnych źródeł produkcji. Realizowano sprawzone już formy kontaktów z miejscowymi przedsiębiorstwami w postaci giełd wewnątrzzakładowych i wojewódzkich. Przyczyniło się to do wytworzenia dodatkowej produkcji towarów za ponad 240 mln złotych, a także do ukierunkowania samej produkcji na wytwarzanie towarów zgodnych z życzeniami klientów. Temu celowi służyły m.in. targi sportowo-turystyczne, organizowane w roku bieżącym przy współudziale Stowarzyszenia Socjalistycznego Marketingu.

Dzięki systematycznym analizom i ocenom znacznej poprawie uległa ostatnio jakość wyrobów przemysłowych oraz rzeźniarskich, a wobec ograniczonych możliwości inwestowania nastąpiła intensyfikacja procesu windykcji i rewindykcji lokali handlowych i gastronomicznych. W sezonie letnim w województwie czynnych będzie 1.100 placówek sprzedaży drobnotalicznej i ponad 250 punktów gastronomicznych.

Minister Adam Kowalik swoją wypowiedź na naradzie skoncentrował na problemach aktualnej sytuacji rynkowej i konieczności sprostania przez przemysł, handel i usługi trudnym, ale możliwym do realizacji potrzebom społecznym.

RSP »Przyjaźń«

dobrze gospodaruje

Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna „Przyjaźń” w Zamarskich leży na terenie typowo rolniczej gminy Hażlach, która w latach 1975 i 1976 zajęła drugie miejsca w konkursie „Gmina — mistrz gospodarności”. W ciągu 25 lat istnienia RSP rozrosła się pokaźnie, obecnie do spółdzielni należy 285 rolników, którzy gospodarzą na 548 ha. Główna produkcja, to bydło mleczne, młode bydło opasowe, trzoda chlewna i wychów brojlerów. W produkcji ubocznej — tzw. paszociąg dla brojlerów — zaopatrują Zamarski cały kraj. Prezes spółdzielni — inż. Janina Andruszkiewicz, podkreśla, że we własnym zakresie buduje się pomieszczenia gospodarskie, nowe fermy kurze oraz adaptuje dla potrzeb spółdzielni zabudowania jej członków. Chociaż gospodarstwo nie jest jeszcze na poziomie zaspokajającym ambicje, można się już dziś cieszyć stałym, poważnym wzrostem pro-

dukcji. Plany wykonywane są z nadwyżką, zwłaszcza w ostatnich latach. Przykładowo — w ubiegłym roku sprzedano w spółdzielni mleczarskiej 206 tys. litrów mleka, w br. na pewno przekroczony zostanie plan 240 tysięcy litrów. Zakładano chów bydła — 455 sztuk, a jest już 485. Spółdzielnia dostarczy ponad 100 ton żywego wołowca i około 40 ton wieprzowego. W ubiegłym roku odchowano 370 ton brojlerów, a w br. będzie ich około 660 ton.

I sekretarz KW PZPR — Józef Buziński i sekretarz KW Jan Chodura odwiedzili ostatnio RSP w Zamarskich i RSP w Ogródzkiej. Goście przeprowadzili rozmowy, dzili gospodarskie rozmowy, szczególnie interesując się awansowaniem prowadzonych obecnie inwestycji, realizacją zadań produkcyjnych i warunkami pracy spółdzielców. (ib)

Specjalizacja: hodowla

Gmina Goleszów stawia na rozwój hodowli. Głównym zadaniem, które wyznaczono sobie na rok bieżący, jest jak najszybsza odbudowa pogłowia zwierząt gospodarskich. Służba rolna przeprowadziła rozmowy z właścicielami gospodarstw, w wyniku których podjęli się oni wyprodukowania m. in. dodatkowo 250 sztuk tuczników. W roku 1977 zostanie zbudowana w gminie chlewnia kontenerowa dla 100 sztuk w jednym rzucie, natomiast 6 budynków, w których produkować się będzie 400 tuczników rocznie, poddanych zostanie modernizacji.

Rozwój hodowli dokonywać się będzie przede wszystkim w oparciu o gospodarstwa specjalistyczne, których jest już w

gminie 19, a do końca roku ich liczba zwiększy się do 30. Ostatnio naczelnik gminy Czesław Broda i I sekretarz KW PZPR Jan Wigezy wręczyli pierwsze karty gospodarstw specjalistycznych, które otrzymali: Jan Kozielec, Adolf Pszczółka, Józef Małec, Paweł Czyż, Władysław Cieślak, Jerzy Pelar, Korneliusz Sikora i Edward Sztetek.

Dużą wagę przywiązuje się w gminie do zapewnienia dostatecznej ilości materiału hodowlanego. Przewiduje się uzyskanie 150—180 loszek, a kilkadziesiąt dalszych rolnicy zakupili. Do dalszego chowu przeznaczają również prawie 300 cieląt.

Zarówno plan skupu, jak i plan kontraktacji został w pierwszym kwartale wykonany w pełni. Zawarto m. in. 28 umów na dostawę młodego bydła rzeźnego i 3 umowy na dostawę tuczników. (ib)

Dzień Działacza Kultury

W Kętach uroczystość obchodzonego Dnia Działacza Kultury województwa bielskiego. Wyróżniający się w pracy aktywiści z różnych środowisk udekorowani zostali odznakami „Zasłużony Działacz Kultury” (25 osób), odznakami Związku Zawodowego Pra-

cowników Kultury i Sztuki (5), a kilkudziesięciu przyznano nagrody pieniężne.

W uroczystości udział wzięli sekretarz KW PZPR — Stanisław Szczepanik, wicewojewoda bielski, Antoni Urbaniec i przedstawiciel Zarządu Głównego ZPKiS — Bogdan Klukowski.

Referat okolicznościowy o pracy kulturalnej w naszym województwie wygłosił dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW — Tadeusz Trębacz. Interesujące były także omówione założenia programowe miejsko-gminnego centrum kulturalnego w Kętach.

„Koncert polski” w wykonaniu Cezariusza Chrapkiewicza i Marii Kubicy — Skarbowskiej uświetnił tę udaną imprezę. (ib)

»Kronika« w Makowie

W Makowie Podhalańskim odbyło się kolejne spotkanie „Kroniki” z Czytelnikami. W spotkaniu, które prowadził naczelnik miasta Stanisław Zguda, wzięli również udział dyrektorzy „Ruchu” Oddziału Wojewódzkiego w Bielsku-Białej — Ewa Walczak i Edward Romanowski.

W bardzo żywej dyskusji, przybierającej często charakter polemiczny, zabrali głos: Wojciech Mizia — sekretarz KMG PZPR, Jan Brandt — robotnik z „Podhalanki”. Stanisław Kolata, Krzysztof Kizlich, Ryszard Mika, Leszek Muzek, Emil Wacyk, Andrzej Siwice, Joanna Florczyk, Irena Dobrowolska, Maria Biel, Mieczysław Weigt.

Makowskie środowisko jest niezwykle żywotne, a sprawy, które poruszamy na szpaltach „Kroniki” są żywo komentowane przez ogół mieszkańców Makowa.

Na liczne pytania odpowiadał zastępca redaktora naczelnego Władysław Czaja. W sprawach kolportażu i działalności „Ruchu” zabrała głos dyrektor RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Bielsku-Białej, Ewa Walczak.

Spotkania obywatelskie

Pod hasłem „Robotnik — Warsztat — Twórca” w dniach od 27 do 29 maja odbywać się będą bielskie spotkania obywatelskie, którym patronuje Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR w Bielsku-Białej, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i Redakcja „Kultury”. Podstawowym założeniem bielskich spotkań jest nawiązanie bezpośrednich kontaktów twórców ze skupiskami klasy robotniczej oraz zapoznanie pisarzy i dziennikarzy ze środowiskami Warszawy, Krakowa, Katowic i naszego województwa — z osiągnięciami regionu beskidzkiego.

Przewidziany jest przyjazd około 40 literatów z wymienionych ośrodków i 10 dziennikarzy. M. in. gośćmi załogi FSM będą: Józef Oza Michalski, Jan Koprowski, Roman Bratny, Lesław Bartelski, Jan Maria Głog, Zbigniew Safjan, Jan Edward

Kucharski, Roman Sliwonik, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Maria Nurowska, Wilhelm Szewczyk, Tadeusz Kijonka, Stanisław Broszkiewicz, Leon Wantula, Bolesław Lubosz, Jerzy Pieszcachowicz, Władysław Machajek, Julian Kawalec, Michał Radgowski, Eryk Lipiński, Janusz Roszko, Aleksander Rowiński, Dominik Horodyński i pisarze mieszkający w naszym województwie. Spotkania odbędą się również z załogami zakładów pracy w Kętach, Andrychowcu, Oświęcimiu i Cieszynie. Poza tym planowane są liczne spotkania z czytelnikami we wszystkich ośrodkach kulturalnych wymienionych miast i ich okolic.

29 maja, w Bielsku-Białej, przy placu Chrobrego, zorganizowany zostanie wielki kiermasz książek, a pisarze i reportażyści służą będą autografami (szczegóły w afiszach). (ib)

»Człowiek — Praca — Twórczość«

W związku z zakończonym trwającym od stycznia 1976 r. przeglądem aktywności kulturalnej ludzi pracy — „Człowiek — Praca — Twórczość” — ogłoszonym przez Centralną Radę Związków Zawodowych, Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki odbył się w dniu 24 bm. w teatrze „Baniaduka” uroczysty koncert. Na wstępie, przewodniczący WRZZ Edward Pawlus wygłosił referat oceniający dorobek „przeglądu” oraz wkład pracy zakładów w rozwój kultury w województwie bielskim. Następnie sekretarz KW PZPR Stanisław Szczepanik, wicewojewoda Antoni Urbaniec, przewodniczący Komisji Kultury KW PZPR Apoloniusz Kulig oraz przewod. WRZZ Edward Pawlus wręczyli laureatom „przeglądu” dyplomy i puchary.

Na wniosek Prezydium WRZZ w Bielsku-Białej przyznano w stały odznak „Zasłużonemu w rozwoju województwa bielskiego” dla wyróżniających się w pracy społeczno — kulturalnej działaczy: Jerzego Wróblewskiego, Andrzeja Binka, Barbary Kozielec, Wilhelma Szczepanika, Jana Nowaka. Natomiast z okazji 15-lecia istnienia i działalności dyplom i puchar WRZZ otrzymał kabaret „Andrusz” Międzyzakładowego Domu Kultury Włókniarza z Cieszyńska. Zakończenie uroczystości odbył się koncert dedykowany laureatom i uczestnikom „przeglądu” oraz wszystkim pracownikom działającym w zakładach i przedsiębiorstwach województwa. W czasie koncertu wystąpiły zespoły powołane w ramach inicjatyw „Środowiskowego Centrum Kultury z Oświęcimia”. (ib)

Jubileusz

sąsiedzkiej

przyjaźni

W Karwinie odbyły się uroczystości XXX-lecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Na uroczystym zebraniu Zarządu Głównego PZKO odczytano list sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, skierowany do członków PZKO i polskiego społeczeństwa, w którym GUSTAV HUSAK wysoko ocenił działalność PZKO, dorobek Związku i udział obywateli narodowości polskiej w budowie socjalizmu w CSRS.

W karwińskich uroczystościach XXX-lecia PZKO uczestniczył ambasador PRL w Pradze Jan Mitrega, sekretarz Komitetu Okręgowego w Ostrawie Josef Mamula. Ulicami miasta przeszedł wielotysięczny barwny korowód, złożony z przedstawicielami wszystkich kół PZKO działających w CSRS. Wśród kilku orkiestr znajdowała się również orkiestra dęta Kopalni „Pokój” z Rudy Śląskiej. Wielotysięczna widownia podziwiała z kolei niezwykle bogaty program artystyczny przygotowany przez zespoły PZKO.

(cw)

W walce z czerwonym kurem

Po raz dwunasty członkowie OSP i funkcjonariusze pożarnictwa obchodzili swoje święto - Dzień Strażaka. Tradycyjne już Dni Ochrony Przeciwpożarowej trwają od 22 do 29 maja, pod hasłem „Wspólnie tworzymy - wspólnie bronimy”. W czasie „Dni” w województwie bielskim zorganizowano wiele imprez połączonych propagowaniem wiedzy o ochronie przeciwpożarowej.

Uroczyste spotkanie aktywu
pożarniczego województwa wiel-
kiego odbyło się z udziałem
sekretarza KW PZPR Andrzeja
Barczyka, wojewody wielkiego
Józefa Łabudka, wicewojewody
— Edwarda Paska i komendan-
ta Wojewódzkiego Straży Pożar-
niczej płk. Stanisława Pon-
kiewskiego. Wyraził on

codzienny trud zawodowy i społeczny, ofiarność w niesieniu pomocy, skierowali przedstawiciele władz do wszystkich, którzy zabezpieczają nasze mienie i stale podnoszą swoje kwalifikacje, by jak najlepiej służyć społeczeństwu. Podczas tego spotkania wręczone zostały odznaczenia i nominacje. Ogółem w województwie awanse oficerskie otrzymały dwie osoby, a podoficerskie — 115. Złotymi, Srebrnymi i Brązowymi Krzyżami Zasługi udekorowano 6 osób. 56 działaczy otrzymało Medal za Zasługi dla Pożarnictwa, 8 — odznaki Za Zasługi dla Województwa Bielskiego, 20 — odznaki Zastużony Działacz FJN, 7 — Wzorowy Strażak, 8 — Wzorowy Kierowca.

(ib)

Przed Świętem Ludowym

W najbliższą niedzielę (29. br.) obchodzone będzie doroczne Święto Ludowe. W bieżącym roku najważniejszą sprawą polskiego rolnictwa, wszystkich jego sektorów, jest odwrócenie niekorzystnych tendencji w produkcji zwierzęcej, a następnie dalszy jej wzrost. Żeby ponowny wzrost hodowli uczynić zjawiskiem trwałym, a jednocześnie zabezpieczyć się na przyszłość przed gwałtownym spadkiem pogłowia — konieczne jest stworzenie trwałej i obfitej bazy paszowej. W tej dziedzinie pozostaje wiele do zrobienia. Chodzi głównie o intensyfikację produkcji zbóż i lepszą gospodarkę na trwałych użytkach zielonych, o powiększenie areалу wartości-

ciowych upraw paszowych i uzyskiwanie wyższych plonów ziemniaków i buraków, o właściwe zbiory, o odpowiednią konserwację plonów i zabezpieczenie ich przed stratami podczas przechowywania.

Te i wiele innych aktualnych zagadnień polskiej wsi stanowią kanwę otwartych wspólnych zebrań kół ZSL i POP PZPR w

gminach. Odbędą się również spotkania z zasłużonymi działaczami ruchu ludowego i robotniczego.

W dniu Święta Ludowego w 44 miejscowościach województwa zorganizowane zostaną uroczystości. Największe odbędą się w Simoradzu, Pogwizdowie, Grojcu, Budzowie, Rajcy, Węgierskiej Górze i Lipowej. (cz)

29 maja obchodzimy Święto Ludowe, święto, które w Polsce Ludowej stało się symbolem braterskiego sojuszu wsi z klasą robotniczą i inteligencją pracującą. Pod jakimś auspicjami wieś polska uczył ten dzień? — pytamy prezesa Wojewódzkiego Komitetu ZSL, posła na Sejm PRL, FERDYNANDA ŁUKASZKA.

Ochoty Święta Ludowego przypadają w okresie rocznic ważnych wydarzeń historycznych: 60 rocznicy WSRP, 40 rocznicy wielkiego strajku chłopskiego oraz obchodzonej na przełomie bieżącego i następnego roku 35 rocznicy wielkich bitew stoczonych przez Bataliony Chłopskie za hitlerowskim okupantem. Tradycje Święta Ludowego sięgają już półwiecza, a na niektórych ziemiach Polski są jeszcze żywsze. W okresie międzywojennym chłopci zbierali się pod zionymi sztaendarami, by manifestować swą wolę walki o Polskę sprawiedliwą i prawnorządną. W tej walce mieli wiernego i zahartowanego sojusznika, którym była rewolucyjna klasa robotnicza.

W Polsce Ludowej chłopskie święto przekształciło się z upływem lat w powszechne święto wszystkich pracowników rolnictwa i mieszkańców wsi oraz tych pracowników przemysłu i usług, którzy charakterem produkcji związani są z wytwarzaniem środków do produkcji rolniczej i artykułów rolnospożywczych. Gospodarzami tegorocznego święta są organizacje i komitety PZPR i ZSL oraz organizacje społeczno-gospodarcze wsi.

— W każdej dziedzinie, a w rolnictwie szczególnie, zawsze potrzebne jest poczucie stabilności i pewności jutra, niezbędna jest atmosfera wykłej, ludzkiej chęci do pracy. O taką atmosferę troszczyć się władze polityczne i państwowe. Taką atmosferę gwarantuje polityka rolna PZPR i ZSL, stale doskonalona, cechująca się trwałością i ciągłością podstawowych zasad. Co robi się w tej dziedzinie w naszym województwie?

— Podstawową zasadą naszego działania jest konsekwentne dążenie do zapewnienia pomysłnych warunków rozwoju dla indywidualnych gospodarstw chłopskich. Dają one przeważającą część produkcji rolnej, wywierają decydujący wpływ na żywnościową sytuację kraju. Państwo popiera wzrost produkcji rolnej we wszystkich grupach gospodarstw. Jednak szczególną troską są i będą otaczane gospodarstwa specjalistyczne, rozwijające kooperację z gospodarką uspołecznioną oraz zespoły chłopskie, które wprowadzają nowoczesne formy gospodarowania. Potrzebny nam jest szybki wzrost produkcji roślinnej, zwierzęcej, owoców, warzyw. Możemy i będziemy samowystarczalni w naszym wołowodztwie pod względem produkcji mięsa drobiowego, mleka, jaj, ziemniaków itd.

Badania dowodzą, że gospodarstwa specjalistyczne uzyskują dwukrotnie wyższą wartość produkcji towarowej niż gospodarstwa chłopskie, wyższą o 50 proc. wydajność pracy, niższą o 30 proc. koszty jednostkowe produkcji oraz wyższą o przeszło 40 proc. opłacalność. Dlatego sprawy przechodzenia na specjalizację i kooperację stanowią stałą troskę we wszystkich wsiach i gminach. (cw)

»TeST 77«

W dniach od 28 bm. do 4 czerwca w Bielsku-Białej (park przy ul. Słowackiego) odbędzie się II Targi Sportowo-Turystyczne „TEST 77”. Na tegorocznych targach - przypomnijmy, że ubiegłorocznie czyszczyły się dużym powodzeniem - eksponowane będą wyroby takich producentów sprzętu sportowego i turystycznego, jak: „Pol-sport” z Łodzi i z Bielska-Białej, „Stomil” z Łodzi, z Krakowa i z Grudziądza, Zakłady Przemysłu Filcowego z Bielska-Białej, ZPO „Odra” ze Szczecina, oraz ZPO „Elpo” z Legnicy. Oprócz tego wystawcami będą także przedsiębiorstwa jak „Predom”, „Polmo-zybit”, WSS „Spotem”, WZSR i WPHW. Ogólna wartość targowej oferty wyniesie ponad 20 mln złotych.

— Kogo szczególnie zapraszacie do przybycia na tegoroczne targi? — pytamy dyrektora Wzdiatu Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego Jerzego Chrystowskiego.

— Jasne, że szczególnie wszystkich, którzy interesują się sprzę-

tem służącym wypoczynkowi, turystyce, sportowi i zabawie. Będą oni mieli możliwość nabycia wielu poszukiwanych na rynku artykułów, a także zapoznanie się z właściwym sposobem użytkowania sprzętu. O odpowiednie informacje instruktaże i pokazy zadbają bowiem sami producenci. Ich przedstawiciele będą pełnili dyżury w stoiskach firmowych. W tym roku proponujemy bogatą ofertę towarową, z szerokim asortymentem. Będą stoiska ze sprzętem dla amatorów tenisa, rowerzystów, wędkarzy, automobilistów, a także dla uprawiających wspinaczkę wysokogórską.

— A co dla przeciętnego „szarego” turysty?

— Przede wszystkim niewielkie i stosunkowo lekkie namioty, szeroki wybór plecaków i obuwia turystycznego. Znajdą się też na stoiskach targowych modne i poszukiwane ubiory dzinsowe z ZPO „ELPO” w Legnicy, a poza tym popularny sorzet biwakowy, jak kuchenki, butle gazowe, menażki i leżaki. Zwiedzających serdecznie zapraszamy do udziału w naszej ankiecie podczas dni targowych. Wypowiadał na temat sprzętu zostaną wzięte pod uwagę podczas sympozjum marketingowego z producentami. (zł)

Uroczysta

zmiana służby

Głównym akcentem tegorocznych obchodów Dnia Strażaka była uroczysta zmiana służby w Zawodowej Straży Pożarnej w Zawodzie Białej z udziałem przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych miasta i województwa. Na uroczystości odczytano specjalny rozkaz Komendanta Wojewódzkiej Straży Pożarnej. Wreczono planowanie na wyższe stopnie i odznaki „za wysługę” „Wzorowy kierowca”. Główną podziękowania do wszystkich strażaków za wzorowe wykonywanie swych obowiązków złożył Komendant Rejonowy ppłk. Franciszek Kamiński. Prezydent miasta Antoni Kobiela wreczając plectu funkcyjartusom dyplomy uznania za 30-letnią służbę w bieleckiej jednostce straży pożarnej, zaś Rada Oddziałowa ufundowała jubilatowi upominki rzeczowe.

w przeddzień święta strażaków odbyły się zawody sportowo-pożarnicze jednostek OSP z zakładu pracy oraz młast i gmin. Osobno startowało 69 jednostek, w tym cztery żeńskie sekcje pożarnicze. Pierwsze miejsca zajęły: sekcja żeńska z „Polamu”, męska sekcja z „Indukty”, następnie sekcja z Komorowie Śl., Kalnej, Kóz. Wygrał Jaworza Zwyczajnie sekcje otrzymały puchary przechodzące prezes ZM ZOSP oraz Komendant Rejonowego Straży Pożarnych. (cw)

(cw)



Nowa remiza — дума kończyckich strażaków. Foto: Paweł Czupryna

Nowa remiza dla Kończyc Wielkich

Kosztem 1.700 tys. złotych wybudowano w Kończycach Wielkich okazałą remizę strażacką. Obiekt powstał w czynie społecznym, systemem gospodarczym. Pracami społecznego komitetu budowy kierował komendant gminny OSP **Józef Brachaczek**. W budynku remizy znajduje się także piękna sala na 150 miejsc z zapleczem, salka zebrania, dwa boksy garażowe i magazyny na sprzęt strażacki.

Przy budowie nowej remizy najbardziej zasłużyli się: Józef Brachaczek, Franciszek i Władysław Morawiec, Józef i Feliks Stoly, Justyn Grzybek, Józef Czakon, Leopold Kuchejda, Rudolf Gwóźdź, Władysław Brachaczek, Józef Walica, Teofil Łabudek, Jan Tomica, Henryk Kluz, Andrzej Cieślak, Karol Żyła i wielu innych.

Dużą pomoc przy budowie strażnicy świadczyły miejscowe instytucje: SKR, RSP Zamarski, PSK Pruchna, GS KGW. W zbiorowych akcjach przy powstawaniu nowego obiektu najczęściej przepracowali członkowie wiejskiej POP, strażacy i młodzież.

Jednostka OSP w Kończycach Wielkich powstała w 1907 roku. W 5 lat później wybudowano remizę strażacką. W ostatnią niedzielę jej rolę przejął nowy obiekt, jeden z najnowocześniejszych w regionie. Z tej okazji medale „Za zasługi dla pożarnictwa” otrzymali: inż. Ryszard Andrukiewicz, Józef Stoly i Władysław Morawiec, a odznaki „Wzorowy strażak”: Józef Człok, Leopold Kuchajda, Rudolf Gwóźdź, Władysław Brachaczek i Józef Walica. Komendant gminny OSP Józef Brachaczek został odznaczony w Warszawie Złotym Krzyżem Zasługi. (cz)

(cz)

W Dni Bielska-Białej

W sali posiedzeń Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej odbyła się we wtorek konferencja prasowa poświęcona zbliżającym się kolejnym Dniom Bielska-Białej. Prezydent miasta **Antoni Kobiela** poinformował dziennikarzy o imprezach jakie odbywać się będą na terenie miasta w dniach od 1 do 5 czerwca, jak również zapoznał gości z planami i perspektywami rozwoju Bielska. Poszczególne dni, pod nazwami których odbywać się będą liczne imprezy, wystawy, spotkania i projekcje, otrzymały swoje nazwy. W Dniu Dziecka program artystyczny, korowody i konkursy przebiegać będą pod hasłem „Miało swoim dzieciom — dzieci swojemu miastu”. Dzień 2 czerwca nazywany został „Świętem Włókniarzy”, zaś kolejne dni — „Sprawności fizycznej i sportu”, „Świętem Fabryki Samochodów Małolitrażowych” oraz na zakończenie „Dniem Trybuny Robotniczej”. Szczegółowy program Dni Bielska-Białej podamy w przyszłym numerze „Kroniki”. (UR)

(U.R.)



Foto: Tadeusz Herma

Obiekt sportowy w czynie społecznym

W ub. niedzielę oddany został do użytku w Wadowicach nowy, piękny obiekt sportowy, którego gospodarzem będzie LZS „Skawa”. Budowa kompleksów sportowych rozpoczęła się w Osiedlu „Mikołaj” przed trzema laty. Dzisiaj można już korzystać tutaj z piły piłkarskiej, boiska do piłki ręcznej, siatkówki i koszykówki. W przyszłości wybudowane zostaną korty oraz kryta trybuna, pod którą znajdować się będą pokoje hotelowe oraz gabinet odnowy. Koszt całego przedsięwzięcia wynosi blisko 20 milionów złotych. Ponad połowa tej kwoty, to wartość pracy społecznej uczniów, pracowników wielu zakładów pracy oraz mieszkańców Wadowic. Działaczom i sportowcom „Skawy” od samego początku budowy tego pięknego obiektu pomagało Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracji.

W uroczystości przekazania symbolicznego klucza od bram stadionu wzięli udział przedstawiciele władz wojewódzkich i miasta oraz działacze i sportowcy Wadowic. Po defiladzie, która odbyła się na bieżni stadionu, członkowie modelarni Aeroklubu Bielskiego-Bialskiego zademonstrowali publiczności pokaz modeli latających sterowanych radiem. Ze względu na niesprzyjające warunki atmosferyczne nie doszło do skutku, oczekiwane z wielkim zainteresowaniem, skoki spadochronowe. Natomiast dużym powodzeniem cieszył się mecz piłkarski pomiędzy oldboyami Skawy i Cracovii zakończony zwycięstwem gospodarzy w stosunku 5:0. (UR)

BIELSCY EKSPORTERZY

JERZY KAMIENIECKI

Nie na błędach...

Pesymiści twierdzą, co prawda, że człowiek uczy się przez całe życie i... umiera w niewiedzy, ale faktem jest, że problematyka edukacji — przetrwania lub najgorzej — edukacja przez całe życie — zrobiła światową karierę.

Rozciągnięcie procesu kształcenia człowieka na cały okres jego aktywnego życia oznacza prawdziwą rewolucję w stosunkach oświatowych w ostatnim dziesięcioleciu.

Nowoczesna cywilizacja techniczna i ogromne tempo zmian społeczno-gospodarczych zachodzących nieprzerwanie, zmusza nas wszystkich do stałego uczenia się, podnoszenia kwalifikacji i wiedzy, do nadążania za zmianami, ciągłego przystosowywania się do nich. Widać to wyraźnie np. w zakładzie pracy, gdzie przecież spędzamy połowę dorosłego życia. Kto nie uzupełnia wiedzy i nie podnosi kwalifikacji — ten pozostaje w tyle. W tyle za tymi, którzy pozostają same instytucje kształcenia, jeżeli nie mają należycie elastycznych i zmiennych programów kształcenia. Stąd oświata dla dorosłych, która dawniej oznaczała wyrównanie niedoborów kształcenia z lat młodzieńczych, obecnie zmienia się w system stałego kształcenia w ogóle, gdyż okazuje się, że obecny stan wiedzy dezaktualizuje się niemal całkowicie w ciągu dziesięciu lat. Stąd w roku 1974 sformułowano przez międzynarodową organizację ONZ zajmującą się kształceniem, oświatą i nauką (UNESCO) uchwałę, przytaczaną przez wszystkie państwa świata, mówiącą o kształceniu przez całe życie — jako podstawowym elemencie reform oświatowych.

Zjawisko rozwoju techniki i technologii produkcji oraz konieczność odpowiedniego doskonalenia kwalifikacji człowieka ma charakter ogólnoswiatowy. Zanikanie różnic tradycyjnych specjalności i zawodów oraz powstawanie nowych, jest zauważalne wszędzie i nie pozbawione czasem dramatycznych konsekwencji. Narasta przekonanie, że wymaga to nie tylko rozwoju oświaty dla dorosłych, ale zmian w systemie kształcenia i wychowania od przedszkola zaczynając.

Ala — niezależnie od szkolnictwa — kształcenia, gdzie koncepcja ustawicznego kształcenia sprawdza się praktycznie i gdzie potencjalnie istnieją warunki naj-

silniejszej motywacji stałego doskonalenia się, podnoszenia kwalifikacji — pozostaje zakład pracy.

W wielu jeszcze zakładach pracy ich funkcje wychowawcze, kształceniowe, są wciąż nie za bardzo rozumiane, po prostu zapomina się, że praca jest sposobem życia i rozwoju człowieka, widząc jedynie wskaźniki techniczno-ekonomiczne produkcji. Ale w burzliwych okresach budowy nowego zakładu czy raptownej modernizacji techniki i technologii przemysłowej, tzw. czynnik ludzki nie może być niedoceniany, gdyż daje o sobie znać z taką siłą, że warunkuje samo uruchomienie produkcji.

Takim wielkim laboratorium działalności wychodzącej poza sferę czysto produkcyjną — stała się w naszym województwie FSM. Uruchomienie zakładu nowoczesnego, o wyspecjalizowanej produkcji wielkoseryjnej i wysokim poziomie technicznego uzbrojenia pracy, wiązało się z nowymi specjalnościami i zawodami, zmianą charakteru zawodów tradycyjnych, wprowadzeniem automatyzacji, elektronicznej techniki obliczeniowej, komputerowego sterowania produkcją. Niemordowanie przesuwające się taśm produkcyjne kombinatu kłórnego już niedługo produkować będzie 200 tysięcy samochodów małosilnikowych rocznie, napędzają wszystkie tryby działania organizatorskie skomplikowanej maszyny, jaką jest FSM i wymagają odpowiedniego dostosowania się ludzi i odpowiednich umiejętności, a nawet odpowiedniej mentalności.

W związku z budową i uruchomieniem motoryzacyjnego kolosa, w latach 1972-76 przeszkolić musiano 20 tysięcy pracowników. Ale przeszkolić to mało. W związku z szybkim starzeniem się wiedzy, zmianami techniki i technologii, jednocześnie stworzyć trzeba było system stałego podnoszenia kwalifikacji oraz dopływu nowych kadr. Wprowadzono np. obowiązki cykliczności doskonalenia kwalifikacji na wybranych stanowiskach robotniczych, kadry mistrzowskiej, a także na wszystkich szczeblach zarządzania. Powołano studium dla mistrzów, umożliwiając najlepszym zdobyć tytuł mistrza dyplomowanego. Wybijający się mistrzowie, kierowani są na studia wyższe i zagraniczne praktyki zawodowe.

Powołano Ośrodek Dydaktyczno-Szkoleniowy FSM, w skład którego wchodzi: trzyletnie szkoły zasadnicze zawodowe dla pracujących, czteroletnie licea zawodowe kształcące robotników kwalifikowanych z maturą, pięcioletnie i trzyletnie technika, podstawowe i średnie studium zawodowe. W Ośrodku kształci się obecnie 5,5 tysiąca osób. Obok istniejącego ośrodka w Bielsku, odpowiednie do potrzeb filie są organizowane w Tychach i Skoczowie.

W zespołach szkół zawodowych prowadzi się interesujący eksperyment, mający na celu ściśle związane z programem kształcenia z potrzebami fabryki, specyfiką jej procesu produkcyjnego aż do poszczególnych stanowisk pracy włącznie. Chodzi więc o takie ustalenia treści kształcenia, aby absolwent był w pełni przydatny i by okres jego adaptacji był możliwie krótki. Kiedy bowiem porównano obowiązujące programy kształcenia ślusarza narzędziowego, frezera i tokarza z wymogami kwalifikacyjnymi fabryki okazało się, że są one spełnione w granicach od 40 do 70 proc. Stąd, przystępując do opracowania programów kształcenia w tych specjalnościach, dokonano szczegółowej analizy struktury i treści pracy w danych specjalnościach w zakładzie narzędziowym FSM w Bielsku, ustalono katalogi czynności i zadań produkcyjnych oraz na tej podstawie techniczne wymogi kwalifikacyjne. Na tej bazie zbudowano dopiero szerszy program kształcenia ślusarzy, tokarzy, frezerów oraz mechaników maszyn i urządzeń przemysłowych. W tych to zawodach powołano eksperymentalne klasy wyspecjalizowane, oparte na fabrycznych programach i w ściślejszej więzi z praktyką. Eksperymentem zainteresowały się instytucje naukowe, zajmujące się wężowym problemem badawczym pod nazwą „Modernizacja procesu nauczania w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym” (PAN, Uniwersytet Warszawski, Instytut Kształcenia Zawodowego).

Ze współpracy FSM z instytucjami naukowymi wyrosły też interesujące badania naukowe pracowników Fabryki, mgr Borysa Zielenki i mgr inż. Andrzeja Strykowski na temat specyfiki pracy taśmowej. Zaobserwowano bowiem dwie sprzeczne tendencje: z jednej strony specjalizację i rozbieżność procesu pracy na montażu i rozbieżność prostych operacji, a z drugiej — napływ pracowników o coraz wyższych kwalifikacjach i z lepszym przygotowaniem teoretycznym. Badania wykazały brak satysfakcji z zatrudnienia przy montażu w systemie potokowym i stany frustracyjne, tym większe, im potencjalnie wyższe kwalifikacje posiadał pracownik. Po prostu pracownik o wyższych kwalifikacjach łatwiej niż się w systemie pracy potokowej i czuje się nie wykorzystany. W tej grupie następuje też wyższa fluktuacja. A to znaczy, że taśmowa fluktuacja następuje wśród pracowników najaktywniejszych zawodowo, czyli tych, którzy potrafili opanować największą ilość operacji. Więcej: wśród najbardziej przydatnych w montażu! Stwierdzono, że taryfikatory nie określają wymogów dla pracowników taśmowych (wszyscy mają jeden tytuł: „monter”) oraz brak bodźców zarówno materialnych jak i moralnych dla szczególnie aktywnych zawodowo. W efekcie proponowano system

wzmocnienia więzi z pracą poprzez stworzenie szczeblowej drogi awansu zawodowego (zarówno prestiżowego jak i materialnego) oraz rotację pracowników na stanowiskach wzdłuż taśmy produkcyjnej. Zaproponowano sześcioszczeblowy układ tytułów kwalifikacyjnych od montera przyuczonego zaczynając, a na monterze dyplomowanym kończąc. Tytułom kwalifikacyjnym odpowiada awans płacowy. Podstawą awansu są wyniki, zapisywane przez przełożonego w Karcie Opanowania Operacji. Osiągnięcie wyższych tytułów, otwiera drogę dalszego awansu, opartego na wynikach w pracy oraz podnoszeniu wiedzy i kwalifikacji.

Ogólnie bowiem, poczynając od bieżącego roku, w FSM — po okrzepnięciu kadrowym — rozpoczyna się okres jakościowego rozwoju kadr, polegający na wywalaniu rezerw tkwiących w zdolnościach i umiejętnościach załogi oraz stałym jej doskonaleniu. Działania idą w kierunku adaptacji społeczno-zawodowej (nowo zatrudnieni dostają się w FSM pod opiekę mistrzów d/s adaptacji), jak i w kierunku podnoszenia kwalifikacji w systemie opartym na zasadzie kształcenia ustawicznego oraz szczeblowości, czyli tworzenia w poszczególnych zawodach i specjalnościach schodkowej drogi awansu opartego nie tylko na pieniądzu, ale też na prestiżu i doskonaleniu się.

Te i inne interesujące inicjatywy w dynamicznym największym kombinacie polskiej motoryzacji, wynikają nie z bezpłodnego nowinkarstwa, ale z konkretnej potrzeby nowoczesnego zakładu przemysłowego, zbudowanego na miarę końca bieżącego stulecia i celującego ambicjami w stulecie następne. Taki zakład przemysłowy spełnia różnorakie funkcje: obok produkcyjnych m.in. kształceniowe i wychowawcze. W takim to zakładzie, przy ogromnej, wielkoseryjnej produkcji, w której docelowo w odstępach minutowych schodzić będą z taśmy samochody, nie ma czasu na uczenie się na błędach. I jest to zbyt kosztowny „system edukacji”, nie tylko w FSM.

Być może zdziwi czytelnika fakt, że publikację o kształceniu kadr fachowych publikujemy w cyklu — „Eksporterzy”. Jest to zamierzone. FSM to największy bielski eksporter, wysyłający parę dziesiątków tysięcy gotowych „maluchów” za granicę (w tym parę tysięcy na eksport do najbardziej wymagającego rynku samochodowego — RFN) oraz wielkie ilości kompletów zespołów napędowych do Włoch w ramach spłaty licencji (praktycznie 90 proc. włoskich „maluchów” jeździ na bielskich silnikach). Do tematu tego jeszcze wrócimy. Ale tutaj możemy stwierdzić bardzo głęboko: różnorodne uwarunkowania powodzenia w eksporcie. Przede wszystkim nienaganna jakość, niezawodność i solidność w dostawach. A jakość pracy zależy od jakości kadr fachowych, ich aktywności zawodowej, stałego podnoszenia kwalifikacji a także stworzenia wśród społeczności zakładowej warunków rozwoju dumy, ambicji i etyki, w połączeniu z pędem zdobywania wiedzy. Te głębiej tkwiące uwarunkowania powodzenia w sprzedaży towarów na eksport chcieliśmy w ten sposób podkreślić.

O pracy, „Lecie 77” i nie tylko

Rozmowa z Wojewódzkim Komendantem OHP
Mieczysławem KUŹMIŃSKIM

Junacy w niebieskich mundurach na trwałe wrosli w pejzaż naszych największych inwestycji. Konstatujemy, że po prostu są, pracują, działają. Dziś chcemy zadać pytanie — kim są oni i ich organizacja?

— Funkcjonowanie Ochotniczych Hufców Pracy Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej można by w skrócie określić jako działalność wyspecjalizowanej agencji polskiego ruchu młodzieżowego, której naczelnym celem jest wychowanie młodzieży przez pracę. Chodzi o wychowanie młodego pokolenia w duchu szacunku do ludzi pracy i samej pracy jako źródła pomyślności narodu i jednostki. W praktyce organizacja nasza ma do realizacji poprzez młodzieżowe hufce pracy, zatrudnione na rzecz powiatowych resortów gospodarczych. W szczególności jest to młodzież z wykształceniem podstawowym lub nieukończonym, która ukończyła szkoły i zdobyła zawód a także odbycie szkolenia obronne w ramach obrony cywilnej kraju. Z jej swego socjologicznego składu OHP są jedynym instrumentem kontrolowanym i zmiennym strukturą zatrudnienia w gospodarce. W latach 70-tych OHP-owska „armia pracy” wzrosła o sto procent czyli z 20 tysięcy do 40 tysięcy w skali kraju.

— A gdzie są zatrudnieni?

— Jesteśmy elastyczni, rozwijamy te kierunki i zawody, na które jest największy popyt, wynikający z realizacją planów gospodarczych. Początkowo głównie

zatrudniano junaków w budownictwie, obecnie również masowo w przemyśle maszynowym, rolnictwie. Jesteśmy wszędzie tam, gdzie priorytetowo budowy i ważne zadania gospodarcze.

Hufce w województwie bielskim (jest ich piętnaście), są pod względem liczebności czwarte w kraju (po Katowicach, Warszawie i Gdańsku), zaś we współpracy z województwem najlepszym od wielu lat zajmują pierwsze lub drugie miejsca oraz otrzymują nagrody resortowe.

Praca hufców w naszym województwie daje corocznie wartość przekraczającą miliard złotych, więc jest to „przerób” — jak mawiają budowlani — sporego zakładu przemysłowego. Największy hufiec — liczący 800 osób — zorganizowano przy FSM w Bielsku.

— Skrót OHP znany jest również w bielskich szkołach ponadpodstawowych. Ta dziedzina waszej działalności ma chyba mniejsze znaczenie produkcyjne, a bardziej wychowawcze?

— Nasza organizacja jako wyspecjalizowana agenda ruchu młodzieżowego prowadzi też działalność w szkołach ponadpodstawowych i wyższych uczelniach, mając na uwadze zorganizowanie młodzieży do pracy społecznie użytecznej. Korzyści są ewidentne: prowadząc działalność wychowawczą przysparzamy materialnych korzyści gospodarce narodowej. Często poprzez naszą organizację młodzież szkół licealnych ma okazję po raz pierwszy zetknąć się praktycznie z prawdziwą pracą. W większości szkół ponadpodstawowych

naszego województwa powołano już Szkolne Komendy OHP. Ich komendantami są nauczyciele. Prowadzą one działalność przez cały rok w hufcach śródrocznych i w ramach praktyk, ale główny nacisk kładziemy na okres wakacyjny.

— I tu dochodzimy do rozpoczynającego się „Lata-77”. Na czym polega ta akcja?

— Akcja „Lato OHP” obejmuje młodzież szkół ponadpodstawowych zorganizowaną w hufcach wakacyjnych. Po zawarciu odpowiednich umów z przedstawicielami zainteresowanych resortów młodzież wykonuje odpłatną pracę przez okres 3-4 tygodni, na odpowiednio przygotowanym „frontie robót”, zorganizowaną w odpowiednio przygotowanych obozach, gdzie prowadzona jest też działalność oświatowa i pedagogiczna. Wynagrodzenie pozwala atrakcyjnie spędzić resztę wakacji. Jest też okazja do poznania innych atrakcyjnych okolic kraju, bowiem prowadzimy wymianę hufców z Wybrzeżem, Pojezierzem itp.

Poprzez szkolne komendy OHP propagujemy też — wielce naszym zdaniem pożyteczną — akcję „Wakacje za zarobionym pieniądzem”. Stworzono fronty pracy na okres wakacyjny i poprzez nasze komórki skierowani młodzi ludzie mogą podjąć pracę w poszczególnych przedsiębiorstwach, zdobywając w ten sposób środki na dalsze, samodzielne spędzenie wakacji. W bogatej Szwecji np. jest rzecz normalna, że rodzice swym dorastającym dzieciom nie dają odrębnych pieniędzy na wakacje, bo jest zrozumiałe samo przez się, że sobie na nie zarobią. My uruchomiliśmy system skierowań! Sztab Akcji „Lato” Wojewódzkiej Komendy OHP zachęca młodzież szkół ponadpodstawowych do zgłaszania się do pracy. Stawki są różne, można zarobić trzy tysiące i więcej nawet. W roku ubiegłym w akcji „Lato” uczestniczyło 2,5 tysiąca młodzieży, chcielibyśmy by w br. było jej trzy tysiące.

— Macie wielu partnerów do współpracy, bo to i przedsiębiorstwa, resorty, wy-

dział zatrudnienia, Kuratorium, praca produkcyjna-wychowawcza, polityczna, czy nie jestecie zbyt „małym” partnerem, żeby wywalczyć odpowiednie fronty robót, warunki socjalno-bytowe itp.?

— Ten miliard wartości, której dajemy województwu to ma swoją wagę. Organem nadzernym, który programuje i koordynuje działalność OHP na terenie województwa bielskiego jest Społeczna Rada OHP energicznie działająca pod przewodnictwem sekretarza KW tow. Andrzeja Barzyka, a powołana zarządzeniem Wojewody Bielskiego. Tutaj spotykają się wszyscy nasi partnerzy i zapadają uzgodnienia na szczeblu kierownictw urzędów i instytucji, na posiedzeniach plenarnych Społecznej Rady.

— Problemy?

— Każdy dzień przynosi nowe sprawy. Generalnie spotykamy się z trochę odmienną „filozofią pracy” z naszej strony i ze strony przedsiębiorstw. Tam na pierwszym miejscu stoją sprawy produkcyjne, ekonomiczne, sprawy kosztów itp. a nie myśli się na ogół o wychowaniu. My chcielibyśmy prowadzić kompleksowy system wychowania, którego praca jest podstawowym elementem, ale w centrum staje sprawa polityczno-wychowawcza. Myślę też, że skoro jesteśmy instrumentem dopływu zasobów ludzkich dla potrzeb gospodarki naszego regionu, trzeba stworzyć młodym lepsze warunki bytowania i startu w nowym środowisku miejsko-przemysłowym. Co roku wyszkolonych zostaje 1300-1500 fachowców. Część z nich zostaje, a zostawałoby więcej, jeżeli poprawiłaby się sytuacja z miejscami w hotelach robotniczych, uruchomiono więcej mieszkań rotacyjnych, stworzono preferencje dla młodych małżeństw robotniczych oraz usprawniono adaptację w zakładach pracy. Jak wynika z naszych obserwacji, około 100 proc. fachowców odchodzi w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Szkoda ich.

Rozmawiał:
JERZY KAMIENIECKI

Cena wolnego czasu rośnie. Jego rozmiary, aczkolwiek powoli, również. Przed nami szczyt urlopowy, który — co nie ulega już wątpliwości — oznaczać będzie jeszcze bardziej masowy niż w ubiegłych latach wyjazd nie tylko po świeże powietrze, ale także — po nowe wrażenia, nową porcję wiedzy o naszym pięknym, rozbudowującym się kraju, jak również o krajach bliższych i dalszych.

W zakładach pracy, jak wynika z naszego reporterskiego rekonesansu, w zasadzie rozdzielono już urlopy i wczasy. Do dyspozycji 290 tysięcy zatrudnionych stoją w bieżącym roku 123 zakładowe ośrodki wypoczynkowe z 6.305 miejscami oraz 35 ośrodków wypoczynku niedzielnego.

Dużo to czy mało?

Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Dużo, jeśli uwzględnić, że razem z miejscami nabywanymi w FWP, „Turystyce” i kwatarami prywatnymi, nasza tak zwana baza wczasowo-wypoczynkowa zapewnia racjonalne wykorzystanie urlopu około 80 procentom zgłaszających się. Mało — jeśli wziąć pod uwagę, że wciąż jeszcze znaczna część załóg — w tym głównie ludzie ciężkiej, fizycznej pracy — nie regeneruje swych sił, a zatem naraża na szwank swoje zdrowie, zaś gospodarke narodową — na straty spowodowane spadkiem wydajności.

Najwięcej troski o sprawy zorganizowanego wypoczynku swych załóg wykazują zakłady przemysłu metalowego bielskiego województwa. Dowodem tego fakt, że zatrudniając 58 tysięcy osób — dorobiły się 19 własnych ośrodków o 1.637 miejscach. Dobra jest również sytuacja w branży włókienniczej, zatrudniającej 50 tysięcy osób i posiadającej 26 ośrodków z 1.140 miejscami. Znacznie gorzej wyglądają natomiast możliwości wypoczynku w innych działach gospodarki narodowej, zwłaszcza w zakładach niewielkich, w spółdzielczości pracy, handlu i usługach.

Istnieje naturalne dążenie do spędzenia urlopu w gronie najbliższej rodziny. Praca wielozmianowa, obarczenie dzieci i młodzieży obowiązkami szkolnymi powodują, że kontakty rodzinne stają się sporadyczne, powierzchowne. Właśnie weekend, właśnie urlop i wakacje są okazjami do pogłębienia osłabionych więzi. I w tym sensie znaczenie wczasów wykracza w jakimś stopniu poza funkcję li tylko rekreacyjną. Zakłady pracy zdają się ją doceniać. dowodem czego fakt, że w większości ośrodków oferuje się wczasy rodzinne.

Obserwuje się również coraz większe zrozumienie dla idei wypoczynku czynnego. Przybywa urządzeń sportowych i zabawowych, wyposaża się zakładowe obiekty w place zabaw dla dzieci, w sprzęt sportowy i turystyczny, urządziła próby i sprawności, rajdy i zawody. Tak jest w takich przykładowo przedsiębiorstwach, jak „Apena”, „Finex”, „Lenko”, „Andropol”, „Indukta”, „Welux”, Wytwórnia Siłników Wysokoprężnych.

Wiele pozostawia natomiast niestety do życzenia jakość wypoczynku. SANEPID zgłasza słuszne zastrzeżenia do wyposażenia stołówek i kuchni, zwraca uwagę na brak urządzeń chłodniczych, pracownicy natomiast uskarżają się na ciasnotę w domkach kempingowych, na utrudniony dostęp do dóbr kulturalnych, na monotonię i nudę, które są zaprzeczeniem dobrze pojętego wypoczynku.

O konieczności zerwania z tandemnym budownictwem kempingowym mówi się od lat — bez większych rezultatów. Ale w bieżącym roku władze administracyjne województwa nadmorskich przeszły od słów do czynów, wydając decyzje o likwidacji niektórych ośrodków. Dotknęły one — nie trzeba dodawać, że boleśnie — między innymi załogi takich zakładów, jak skoczowski „Pledan”, bielskie „Befado” i „Ellech”.

Powtarza się w naszych reporterskich relacjach stwierdzenie: „zaspokajamy potrzeby zgłaszających się”. Stopień tego zaspokojenia jest z roku na rok wyższy. Zmusza natomiast do refleksji, iż określona część załóg nadal bądź to nie docenia wagi pełnego wypoczynku, bądź też doceniając — nie widzi możliwości skorzystania z niego. Przyczyny są różne, jak różne bywają życiowe sytuacje: małe dzieci, które domagają się matczynej i ojcowskiej pieczy, rozpoczęła budowa domku jednorodzinnego, gospodarstwo rolne...

Wczasy pracownicze są ważną zdobyczą socjalną, ale nie można zmuszać do korzystania z niej, tak jak trudno wymuszać na kimś udział w spektaklu teatralnym czy w wybieczce. Odnosi się jednak wrażenie, iż służby pracownicze przedsiębiorstw, jak również organizacje związkowe, traktują swoje obowiązki z zakresu zapewnienia zatrudnionym warunków wypoczynku zbyt jednostronnie, troszcząc się li tylko o rozwój tak zwanej bazy. Tymczasem, żeby umożliwić pracownikowi skorzystanie z wczasów nie wystarczy — okazuje się — mieć miejsce w domku i stołówce; trzeba również znać i zaspokajać inne potrzeby ludzkie, nawet takie, które trudno ująć w formalnym wykazie zakładowych obowiązków.

Nasz reporterski zwiad dowodzi, że pęd do wykorzystywania urlopów tylko w miesiącach letnich nie osłabł. Stwarza to kłopoty nie tylko organizatorom wczasów, lecz również — i to poważnie — administracji gospodarce zakładów. Ruch urlopowy przebiegać musi bowiem tak, aby nie komplikował produkcji w przedsiębiorstwach, a jednocześnie — by odpowiadał maksymalnie życzeniom i potrzebom zatrudnionych. Pogodzenie tych dwu racji — wiemy o tym — nie jest bynajmniej sprawą łatwą. Szkolę bierze się między innymi stąd, że termin wyjazdu na urlop znacznej części pracujących jest nadal uzależniony od wakacji szkolnych.

Polityka właściwego wykorzystywania urlopów — określenie „polityka” nie jest tu wcale przesadną — musi być zatem bardzo elastyczna. Ale czy jest? W Okręgowym Biurze Skierowań FWP poinformowano nas, że nie ma trudności z otrzymaniem skierowania na wczasy w czerwcu, że są do dyspozycji miejsca w atrakcyjnych nawet miejscowościach. Wiemy, że również w ubiegłych miesiącach nie wszystkie domy wczasowe były wypełnione. Świadczy to o tym, że nie wystarczy jedynie rozplanować urlopy, żeby uniknąć wczasowego tłoku w okresie lata. Owszem, planowanie jest potrzebne, ale niemniej potrzebne okazuje się przełamywanie wieloletnich, nie zawsze racjonalnych przyzwyczajeń.

Solidny tyk wypoczynku jest potrzebny wszystkim. To nie ulega wątpliwości. Nie poddawamy się jednak snobistycznej modzie — zacierpnąć go można zarówno latem, jak jesienią czy zimą, zarówno w Sopocie czy Zakopanem, jak i w dziesiątkach innych, mniej co prawda renomowanych, ale nie mniej pięknych i — co tu dużo gadać — tańszych miejscowości.

A oto relacje naszych reporterów:

INGEBORGA BIENIEK z ZPW „Finex” w Bielsku-Białej:

Fabryka proponuje w tym roku swym pracownikom i ich rodzinom 867 miejsc wypoczynku w tak atrakcyjnych miejscowościach jak Kołobrzeg, Ustka, Krynica, Wisła-Czarne oraz w wielu innych, którymi dysponuje Fundusz Wczasów Pracowniczych. Około setka dzieci spędza lato na koloniach nadmorskich lub organizowanych w Julinie i Busku-Zdroju, a więc podobnie jak 120 na obozach dla dzieci i młodzieży. Przewodniczący Rady Zakładowej, Rudolf Lejawa stwierdza, że prawie wszyscy zgłaszający się otrzymują wczasy, kłopot tylko w tym, że nie wszyscy chcą wyjechać w lipcu i sierpniu, o co większość zabiega. Dlatego też pierwszeństwo w miesiącach pełnego lata mają uprzywilejowani posiadacze odznak „Zasłużony Pracownik Finexu”, samotne matki, rodziny wielodzietne i pracownicy fizyczni. To oczywiście jest słuszne. Jeśli jednak okazuje się, że w ogóle z możliwości spędzenia urlopu na wczasowisku korzysta co roku samych pracowników — bez członków rodzin — około jedna piąta załogi, a wśród korzystających tylko około 60 procent to robotnicy, trzeba postawić pytanie: dlaczego tak mało chętnych i dlaczego tak mało pracowników fizycznych? Pytanie to jest tym istotniejsze, że robotnicy stanowią 79 procent całej załogi „Finexu”. Zresztą ten zakład — pod tym względem — nie nale-

ży do wyjątków. Podobnie jest w innych przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego.

Nie sądzę, aby przyczyną małego zainteresowania wczasami była niedostateczna ich popularność, ponieważ na ogół jest tak, że ci, którzy byli raz na wczasach chętnie wyjeżdżają powtórnie, zachęcając innych. Nie przekonuje też podśluchany, a wstydliwie lansowany argument, że atrakcyjne miejscowości wypoczynkowe są nieustającą rewią mody, co zobowiązuje do nieplanowanych wydatków na naj-najmodniejszą garderobę.

Poza tym „Finex” reklamuje swoje wczasowiska, a dla zachęty proponuje np. w maju wczasy dla robotników, którym pokrywa wszystkie koszty (pojechało tylko 6 pracowników (!) i emeryci), a najczęściej wszystkich na każdy turnus zawozi własnym autokarem, co i wygodniej i taniej.

Trzeba więc oddać głos tym, którzy na wygodny urlop nie wyjeżdżają.

Ludwika Warmus, cerowaczka, która pracuje w „Finexie” 17 lat. Mieszka w Bestwinie: — Nigdy nie byłam na wczasach, chociaż mi je proponowano i mogłabym pojechać także z dziećmi i mężem. Jakoś nigdy się nie składało, no bo najpierw dzieci były za małe, potem budowaliśmy się, a kiedy bracia byli w wojsku, trzeba było pomagać w gospodarstwie matce — wdowie. — Czy to był

wypoczynek? — Zawsze kilka ostatnich dni urlopu odpoczywaliśmy u rodziny w Łodzi, a nad morzem bywałam z wyieczkami zakładowymi, więc już tak nie kusilo... Myślę, że teraz, kiedy dzieci dorosły i nie jeżdżą już na kolonie, pojedziemy na wczasy.

Julia Tatara, przewijaczka przędzy, przodownica pracy, w ciągu 15 lat nie skorzystała ze skierowania na wczasy. — „Warunki mi nie pozwalały. Wcześniej owdowiałam, wychowywałam czworo dzieci, o domu tylko myślałam, a dzieci wyjeżdżały na kolonie. Teraz mają swoje rodziny, a ja opiekuję się wnukiem. Zazwyczaj bierze się urlop na prace domowe... Nie wypoczywałam, ale zdrowie dopisywało. Może pojadę, jak będę na emeryturze, wszak znajome rencistki dopiero teraz często korzystają z wczasów.

Stanisław Hałas, podmistrz w tkalni, pracownik „Finexu” od 21 lat. — Najpierw było wojsko, potem pomagałem w

budowie domu rodziców, a kiedy ożeniłem się, trzeba było wyszukać własny dom. Z dwójką malutkich dzieci nie można było wyjechać, wreszcie trudno zostało znaleźć przydomową ze świnią i kurami pod opieką starej matki... Byliśmy na wspaniałych wczasach w Kołobrzegu, wypoczęliśmy dobrze, a było to w 1971 r. Wybierzemy się znowu, kiedy dzieci dorosną i będzie można wyjechać „na zmiannę”. Teraz przy pracy na działce odpoczywam, lubię to, a na kilka dni urlopowych wyjeżdżamy w Beskidy.

Mogli skorzystać po wielokroć z dobrze zorganizowanego wypoczynku. Nie skorzystali. W czasie urlopu też naliczyć nie wypoczęli. Oczywiście, trudno kogoś uszczęśliwić na siłę, jednak również trudno oprzeć się przeświadczeniu, że dobrze pracującym robotnikom można było jakoś pomóc, by chociaż raz na kilka lat spędzili urlop całkowicie wolni od domowych trosk.

ZBIGNIEW ŁOĘGLER z Żywieckiej Fabryki Śrub:

Rozmawiam z Marianem Ponikwią, ślusarzem narzędziowym Żywieckiej Fabryki Śrub.

— Na wczasach byłem dwa razy podczas mojej ponad 30-letniej pracy w „Śrubarni”, w 1975 i 1976 roku — mówi. — Do Dźwirzyna nad morzem pojechałem z żoną, córką i synem. Mieszkaliśmy w zakładowym ośrodku wypoczynkowym, w komfortowo urządzonej pawilonie. Wyżywienie na tych wczasach lepsze było w 1975 r. niż przed rokiem. Jak spędzaliśmy te wczasy? Wiadomo, jeśli dopisywała pogoda, wysiadaliśmy całymi dniami na plaży. Poza tym zwiedzaliśmy okolicę, a przede wszystkim Kołobrzeg, pływaliśmy statkami żeglugi przybrzeżnej, co dla nas, mieszkańców gór, stanowiło du-

dowa organizuje 5 turnusów (od 15 czerwca do 24 sierpnia) stąd prosty rachunek, że z wczasów w Dźwirzynie korzysta rocznie ok. 450 osób. Ponadto przeciętnie około 25 pracowników fabryki wyjeżdża co roku na wczasy FWP. Jak zapewnia Rada Zakładowa, 75 procent korzystających co roku z wczasów to robotnicy, a warto jeszcze podkreślić, że ci wszyscy, którzy ubiegają się o wczasy otrzymują je.

Fabryka Śrub rozbudowuje swój nadmorski ośrodek w Dźwirzynie — o czym wspominał w swej wypowiedzi Marian Ponikwia. Powstaje tam nowy dom wczasowy, który będzie posiadał ok. 300 miejsc, dużą stołówkę z zapleczem kuchennym i świetlicą.

„DZIELENIE

żą atrakcję. Nasz ośrodek wypoczynkowy w Dźwirzynie posiada bibliotekę, telewizor w stołówce i wypożyczalnie sprzętu wodnego. W tym roku także złożyłem w Radzie Zakładowej podanie o wczasy w Dźwirzynie. Ale z drugiej strony wolabym zwiedzić także inne rejony naszego Wybrzeża, np. okolicę Gdańska czy Sopotu, mimo, że Dźwirzyno jest pięknie położone — między morzem, a jeziorami. Rada Zakładowa załatwia podobno dla nas jakieś wczasy w Czechosłowacji, w drodze wymiany z bratnim zakładem w Starej Lubowni. Wracając jeszcze do Dźwirzyna, chciałbym podkreślić rozbudowę naszego zakładowego ośrodka. Po zakończeniu tej rozbudowy będziemy tam mieli więcej miejsc i większy komfort. Tylko tę pracę trzeba przyspieszyć. Może rozbudowany już ośrodek zachęciłby moich kolegów do korzystania z wczasów. Wielu z nich naprzód zapisuje się na wczasy, a później rezygnuje. A szkoda, bo jak sam się przekonałem, raz w roku po ciężkiej pracy w fabryce trzeba odetchnąć innym, właśnie nadmorskim powietrzem.

Mój rozmówca dopiero w 1975 r. zrozumiał, czym jest dobrodziejstwo spędzenia urlopu w nadmorskim klimacie. Szczególnie dla niego i jego najbliższych, mieszkańców podbeskidzkiego Żywca, gdzie powietrze jest całkowicie pozbawione jodu, jakże potrzebnego organizmowi, narażonemu w górach choćby tylko na ciężkie schorzenia gruźlicy i reumatyzmu. Marian Ponikwia raz próbował czym są wczasy i teraz skwapliwie korzysta z tych wszystkich udogodnień, jakie stwarza Rada Zakładowa Fabryki Śrub w Sopotu. Zakład ten, zatrudniający ponad 2-tysięczną załogę (w tym 286 pracowników umysłowych) posiada w Dźwirzynie, w sąsiedztwie Kołobrzegu, ośrodek wypoczynkowy, wybudowany wspólnie z Żywieckimi Zakładami Futrzarskimi i zabrzańskim „Linodrutem”. Ośrodek dysponuje obecnie 176 miejscami wczasowymi, w tym 96 w dwóch komfortowych pawilonach i 80 w domkach kempingowych. Podczas jednego turnusu, w ośrodku wypoczywa 90 pracowników Żywieckiej Fabryki Śrub. Ponieważ Rada Zakła-

— Mamy kłopot z tą nadmorską inwestycją i z dopilnowaniem budowy na odległość — stwierdził przewodniczący RZ Mieczysław Grochowski. — Szkoda, że nie budujemy tego ośrodka tu w Beskidach, np. w Korbielowie. Ośrodek w górach byłby wykorzystany przez cały rok. Dysponując takim ośrodkiem zawsze znaleźlibyśmy amatora do wymiany na nadmorskie wczasy dla naszej załogi. Ale skoro już związaliśmy się z Dźwirzynie, to trzeba szybko skończyć rozbudowę. Po jej zakończeniu pomyślimy i tak o jakiejś wymianie, aby po prostu Dźwirzyno nie znudziło się naszym.

Załoga Żywieckiej Fabryki Śrub to w większości ludzie mieszkający na peryferiach Żywca, względnie w sąsiednich wsiach. Mają własne domy, ogródki, często kawałek pola i czworonożny dobytek. Właśnie latem, w okresie nadmorskich wczasów w Dźwirzynie, przychodzi pora na uprawę ogródków i zbieranie plonów z pól. Wtedy nie sposób zostawić tego na czyjejś głowie, by pojechać na wczasy.

— Ja na przykład też nie byłam ani razu na wczasach w Dźwirzynie, bo mam dom z ogródkiem — powiedziała mi referentka działu socjalnego fabryki Marcjanna Micherda. — Do Dźwirzyna jeżdżę tylko służbowo, najwyżej na jeden dzień. Natomiast Jan Lorenc, rzemieślnik materiałów, który w Śrubarni pracuje od 1958 roku, ma inne kłopoty z wyjazdem na wczasy:

— Chętnie pojechałbym do Dźwirzyna, ale teraz nie pozwalają mi na to warunki domowe. Niedawno otrzymałem mieszkanie, więc trzeba się urządzić. To kosztuje, pan rozumie. Poza tym mam pięć dzieci, których nie mogę zostawić na jakiś wypoczynek i może w tym roku skorzystałam z wczasów w NRD, zorganizowanych przez miejski sztab ORMO.

Władysław Smoleń, tkacz, nie myślał dotąd o nadmorskim wypoczynku:

— Nie byłem jeszcze nigdy na wczasach i na razie nigdzie się nie wybieram, bo w Lipowej buduję domek jednorodzinny. Poza tym kto będzie pilnował kur i psa? Może kiedy skończy budowę? Ale wtedy trzeba będzie kogoś nająć do pilnowania domu...

ROBERT DANIEL z „Celmy”:

Przed dwoma laty z wczasów skorzystało półtora tysiąca pracowników cieszyńskiej „Celmy” i członków ich rodzin, w roku 1976 liczba ta wzrosła do 1756, ale i to okazało się niewystarczające, jako że około 350 wniosków nie dało się załatwić. Dopiero w roku bieżącym, jak nas zapewnił przewodniczący Rady Zakładowej Leopold Walarus, powstały warunki dla zapewnienia letniego wypoczynku wszystkim, którzy na wczasy reflektują.

Oferta „Celmy” jest bogata, stwarza poważne możliwości wyboru. Zakłady Elektro-Maszynowe dorobiły się dwóch własnych ośrodków wczasowych. Pierwszy, w Dąbkach koło Darłowa, położony jest nad samym morzem, wśród drzew

sosnowych. 35 trwałych domków kempingowych (dwu- i cztero osobowych) zapewnia wygodny wypoczynek osobom w jednym turnusie. Ośrodek dysponuje własną kuchnią, jadalnią i świetlicą, a także obiektem sanitarnym. W bieżącym roku z wczasów w Dąbkach skorzysta łącznie 1388 osób.

Drugi celmowski ośrodek zbudowany został na stoku góry Bukowa w Wiśle. Oddane do dyspozycji wypoczywających pokoje są wygodne i zostały nowoczesnie urządzone. Na miejscu jest kuchnia, jadalnia, dobrze wyposażona świetlica, pomyślano również o dzieciach, które korzystają z piaskownicy, brodzika, huśtawek, karuzeli itp.

Z uwagi na to, że najwięcej zgłoszeń

wplywa na wczasy nad morzem, „Celmą” zawierała w bieżącym roku szereg zmian, dzięki czemu będzie mogło spędzić urlop nad Bałtykiem kilkadziesiąt tysięcy osób. Za pośrednictwem PTTK wzięto kwatery prywatne w Kołobrzegu i w Uście, w ramach wymiany uzyskano dodatkowe miejsca w ośrodkach zakładowych Kombinatu Budowlanego z Kołobrzegu i Dolnośląskich Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych „Dolmel” z Wrocławia (w tej samej miejscowości).

Podobnie jak w latach ubiegłych, pracownicy „Celmy” będą mogli skorzystać z wczasów zagranicznych, przy czym — co przecież ważne — ich koszt będzie analogiczny, jak wczasów krajowych. W ramach wymiany z Zakładami Elektroniki Telewizyjnej w Berlinie oraz z VEB „Montan” w Lipsku uzyskano 138 miejsc wczasowych w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w takich miejscowościach, jak Waltersdorfer Mühle, Gernrode-Harz i Wentowsee. W tej ostatniej miejscowości celmowcy spędzą urlop na pływających po jeziorze tratwach.

Na zasadzie wymiany organizowane są również wczasy w ośrodku wczasowym w Cieladnej (CSRS), stanowiącym własność zaprzyjaźnionej z „Celmą” fabryki czechosłowackiego zakładu wypoczynkowego w Frenstacie. Pracownicy wczasowscy będą w celmowskim ośrodku w Wiśle-Bukowej.

„Celma” rozpoczyna letni sezon wczasowy w dniu 6 czerwca, ale do tej pory nie dokonano jeszcze podziału miejsc, co zostało spowodowane oczekiwaniem na odpowiedź Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Katowicach w sprawie kursowania sezonowych pociągów wczasowych, od czego zależy ustalenie

których stwarza się przy rozdziale miejsc wczasowych specjalne preferencje. Specjalnie uprzywilejowani będą, zgodnie z uchwałą KSR, pracownicy wyróżnieni odznaką „Zasłużonemu ZEM „Celma”, dalej zatrudnieni w wydziałach, gdzie praca uznana została za szkodliwą dla zdrowia (na przykład w odlewni, lakierni, impregnowni i innych), jak również ci wszyscy, którzy nie korzystali dotąd z wczasów. Pracownicy ci mają już dziś pewność nie tylko tego, że otrzymają skierowanie, ale również — że będzie to wybrana przez nich miejscowość i proponowany termin.

W następnej kolejności rozpatrywane będą wnioski tych, którzy już z wczasów co prawda korzystali, ale nie w ubiegłym roku. I oni mogą liczyć w zasadzie na wczasy w najbardziej dogodnym dla nich terminie, ale mogą nastąpić pewne niewielkie przesunięcia.

I wreszcie ostatnią grupę stanowią ci, którzy korzystają z wczasów bardzo często, spędzili też urlop w zakładowym ośrodku w roku ubiegłym. Jak się przewiduje, będzie możliwe zaspokojenie również ich potrzeb, tyle że nie w żądanym terminie.

Jak stwierdza zastępca kierownika Działu Socjalnego Stanisław Kukuczka, załoga „Celmy” docenia znaczenie racjonalnego wypoczynku. Fakt, że w roku bieżącym wpłynęło około 1300 zgłoszeń na wczasy, mówi sam za siebie. Tym niemniej część pracowników nie korzystała dotąd z letniego wypoczynku w ogóle. Są to w przytłaczającej większości tzw. robotniko-chłopi, którzy przeznaczają urlop na prace w polu.

Podobnie jak w wielu innych zakładach, pokutuje wśród celmowców błędne przekonanie, że jedyną porą wypoczynku są miesiące letnie — lipiec i sierpień.

ZSMP, około 80 osób wyjeżdża na zakładowe wczasy „specjalistyczne” dla wędkarzy, blisko 300 uczniów szkół przyzakładowych uczestniczy w obozach harcerskich, a ponad tysiąc — korzysta z propozycji Funduszu Wczasów Pracowniczych i innych form wypoczynku, organizowanego przy finansowym współudziale zakładu. Dotacje z tego tytułu wynoszą 4 mln zł w skali rocznej.

Szeroko zakrojona działalność nie jest jednak w stanie pokryć zapotrzebowania. Zakłady zatrudniają 11 tys. pracowników, z czego znaczna część pracuje w bardzo trudnych, szkodliwych dla zdrowia warunkach. Przystąpiono więc do rozbudowy bazy wypoczynkowej. Aktualnie dotyczy to ośrodka wypoczynkowego w Dąbkach, gdzie w lipcu roku przyszłego oddany zostanie nowy pawilon na 160 miejsc, w najbliższej przyszłości dojdzie do budowy — wspólnie z krakowskim „Miraculum” — obiektu sanatoryjnego w Krynicy. Równocześnie zabiegom modernizacyjnym podda się ośrodek campingowy w Międzybrodziu. W wyniku tych przedsięwzięć, uzyska się dodatkowo blisko 3 tysiące miejsc. Tymczasem jednak z letniego wypoczynku, organizowanego przez zakład lub przy jego pomocy, korzysta zaledwie czwarta część załogi. Przede wszystkim są to wczasy typu rodzinne.

— Wielu chętnym trzeba niestety odmówić — informuje zastępca dyrektora Jan Knyez, — ale też wiele osób z różnych powodów rezygnuje z organizowanego przez nas urlopu. Przeważnie są to robotnicy posiadający niewielkie gospodarstwa rolne. Jest ich około 2 tysięcy. Celina Porebska — kierowniczka hali maszyn, na zakładowe wczasy wyjeżdża co drugi lub co trzeci rok. Jest to możliwe, bowiem mąż jest również pracownikiem zakładów, a ona sama pracuje w nich już 26 lat.

— Wyjeżdżamy na wczasy rodzinne, zabierając ze sobą córkę — uczennicę klasy ósmej i syna — ucznia przyzakładowego

technikum. Byliśmy w Makowie Podhalańskim i w Kołobrzegu. Obydwa ośrodki zapewniają wypocznik w komfortowych niemal warunkach. Nie brakuje atrakcyjnych rozrywek, doskonale są również posiłki. Atmosfera sprzyja wypoczynkowi i mimo, że jesteśmy w gronie swoich koleżanek i kolegów z pracy, nie rozmawiamy o sprawach zakładu. Nie ma czasu, to i dobrze. Osobiście nie wyobrażam sobie lepszych wczasów i gdyby tylko było możliwe, chętnie jeździłabym z rodziną na zakładowe wczasy co roku.

Jan Kwaczala — robotnik Zakładu Produkcji Metanolu:

— Jeszcze nigdy nie byłem na wczasach. Początkowo było to niemożliwe, bowiem obydwój z żoną budowaliśmy dom. Potem urodziło nam się troje dzieci. Z taką gromadką trudno wybierać się na wczasy. Poza tym, inne potrzeby były pilniejsze. Zarabiałem wówczas niewiele, żona ze względu na dzieci nie mogła kontynuować pracy zarobkowej, a potrzeby rosły. Teraz syn uczy się w Liceum Zawodowym w Kętach, mieszka w internacie. Miesięcznie kosztuje mnie to 600 złotych. Starsza córka wychodzi za mąż, no i zaoszczędzone pieniądze musimy przeznaczyć na wesela. Mieszkamy w Porębie Wielkiej i mamy prawie dwa hektary pola, oczywiście gospodarstwo też wymaga pracy, ale daliśmy sobie radę — to nie jest przeszkoda. Jednak marzymy o wczasach, ale przecież zapłacić turnus, to nie wszystko. Wypada jeszcze mieć coś w zapasie. Poza tym nie jestem przekonany, czy dostałbym wczasy w takim terminie, jaki nam odpowiada ale inna sprawa, że o to nie pytałem.

Rzecz zatem w szuflce bazie i — sądząc po ostatniej wypowiedzi, nie najlepszej chyba informacji. Ta rzeczywistość musi szwankować, skoro nasz reporter „za żadne skarby” nie mógł dowiedzieć się, nawet od tzw. kompetentnych czynników, ilu robotników i ilu pracowników umysłowych wyjeżdża w roku bieżącym do ośrodków Zakładów Chemicznych.

PAWEŁ CZUPRYNA z „Garbarni” w Skoczowie:

Zakład należy do tych fabryk, które dysponują nadmiarem miejsc wypoczynkowych. Posiada własny ośrodek murywanek domków, położony w pięknym zakątku Brennej, który tylko w 1/3 jest wykorzystywany przez załogę. Resztę ośrodka wynajmują inne zakłady. Jak twierdzą pracownicy Garbarni, Brenna nie jest dla nich atrakcyjna. Są ponadto miejsca na wypocznik, oferowane przez zakład macierzysty w Chelmku i przez FWP. Nawet wczasy nad morzem nie są wykorzystywane. Duży wpływ ma na to brak własnego środka lokocji, który zapewniłby dojazd na wypocznik.

W ub. roku z zorganizowanych wczasów skorzystało ponad 80 osób, na 350 pracowników. Trzeba jednak wiedzieć, że większość załogi to chłopo-robotnicy, którzy w sezonie wczasowym pracują na polach, lub są fachowcami bardzo potrzebnymi przy budowie. Można wtedy zarobić ładny grosz, którego nigdy w domu nie jest za dużo, szczególnie kiedy myśli się o własnej budowie, czy kupnie samochodu — mówią.

W tym roku zgłosiło się na wczasy 80 osób, kto chciał, otrzymał przydział — zostało jeszcze kilka wolnych miejsc. W tej liczbie 60 osób, to pracownicy z produkcji. Jak nas poinformowano w Radzie Zakładowej, około 30 — proc. załogi nie było jeszcze na wczasach.

— i z „FACH-u” w Cieszylinie:

Licząca prawie 1000 osób załoga Fabryki Automatyki Chłodniczej w Cieszylinie posiada własny ośrodek campingowy w Ustroniu - Jelenicy na 56 miejsc. Służy on nie tylko pracownikom FACH-u, ale jest również wykorzystywany do wymiany z innymi zakładami, posiadającymi własne ośrodki w różnych rejonach kraju. Ponadto fabryka wynajęła dwa budynki z 34 miejscami w Świnoujściu. Wymianę wczasową prowadził FACH do niedawna ze Stoczną Gdańską, a obecnie z takimi jednostkami, jak Wojewódzki Zakład Doskonalenia Zawodowego w Legnicy i fabrykami o podobnym profilu produkcyjnym w Bochni i woj. kieleckim.

W ośrodku nadmorskim wczasy rozpoczynają się 1 czerwca, a we własnych domkach campingowych w Jelenicy — 15 czerwca. Kończą natomiast, w drugiej połowie września.

W sumie FACH dysponuje 588 miejscami wczasowymi. W tym roku liczba ta w zupełności starczyła do zaspokojenia potrzeb załogi. Z tym, że większość chętnych zgłosiło się na wczasy w lipcu i w sierpniu. Tym którzy mogli pojechać w innych terminach, zaoferowano turnusy w czerwcu lub wrześniu. Wiele z tych ofert nie skorzystało i wycofało swoje podania, choć nie stało na przeszkodzie, aby wyjechali w tym właśnie czasie.

Spośród wyjeżdżających na wypocznik, około 430 to pracownicy z produkcji, resztę stanowi grupa z administracji. Jak nas poinformowano w Dziale Kadr, pierwszeństwo w przydziale wczasów mają robotnicy zatrudnieni na ciężkich wydziałach, przydzielonych pracy i posiadających odznaki „Zasłużony pracownik FACH-u”.

Wśród 980-osobowej załogi, tylko około 60 pracowników w ogóle nie skorzystało dotychczas z wczasów.

Bardziej chętni do wyjazdów są emeryci, którzy co roku po sezonie udają się na wypocznik.

Podobnie jak przed laty, również w tym roku z kolonii skorzysta 30 dzieci, które wyjadą do zakładowego ośrodka kolonijnego „Chelmka”. W mieście zorganizuje się wspólnie z innymi zakładami półkolonie lub wczasy w mieście. Zawsze około 15 maluchów korzysta z tej formy wypoczynku. Dla nich też zorganizuje się wycieczki po Beskidach i do Wesołego Miasteczka w Chorzowie.

Garbarnia jest zakładem, który ma dobre warunki socjalne. Dysponuje piękną świetlicą z kompletem gier, kolorowym telewizorem, a jakoś załoga nie kwapi się, aby z tego korzystać. Nawet wycieczki zagraniczne, planowane przez kierownictwo, nie dochodziły do skutku z braku chętnych.

Próbowaliśmy znaleźć rozwiązanie zagadki rozmawiając z pracownikami. Większość mówiła: — mamy wczasy w domu. Jesteśmy potrzebni rodzinie, gospodarstwu. Kto nas zastąpi przy pracach polowych? Zresztą, jest szansa coś dorobić na fuzkę. Przyda się grosz w domu.

Tak więc, wciąż jeszcze konieczność corocznego wypoczynku ludzi ciężkiej pracy zawodowej — nie jest przez nich uświadamiana.

Jednym z nich jest Karol Grzybek, mieszkający w Hażlachu, pracujący w fabryce już 20 lat, przewodniczący komisji socjalno-bytowej Rady Zakładowej, która m.in. decyduje o przydziale miejsca na wypocznik.

— Dla osób posiadających gospodarstwo, trudno wykreślić czas na dłuższy wyjazd. Ktoś przecież musi opiekować się domem. W dodatku kiedy ma się małe dzieci i to 6-osobową gromadkę, o wczasach nie może być mowy. Kiedy budowałem dom, nie myślałem o odpoczynku, później choroba żony oraz moje dolegliwości żołądkowe nie pozwalały na wyjazd. Może teraz, kiedy dzieci są większe, będzie łatwiej opuścić gospodarstwo. Ale boję się dojazdu nad morze. To co się dzieje w pociągach w okresie ferii odbiera chęć do jazdy. W dodatku wczasy są drogie, chociaż zakład dużo nam dopłaca.

Teodor Pierchała, również 20-letni pracownik FACH-u, działacz partyjny, nie był dotychczas na wczasach.

— Jestem chłopo-robotnikiem. Posiadam z żoną ponad hektarowe gospodarstwo w Kończycach Wielkich. Dla ludzi, mających dobytek, nie ma mowy o wyjeździe na wczasy. Mieszkańcy miast zamykają swoje domy, ubezpieczają przed kradzieżą i jadą w świat. Nam nikt nie zaoferuje się bydłem, trzodą czy drobiem. W gospodarstwie jest się ciągle potrzebnym.

Józef Bujok z działu prototypowni, był na wczasach w 1966 roku. Od tego czasu nie korzystał z wyjazdów nad morze. Najpierw „przeszkodziło” mu woisko. Potem założył rodzinę, zagospodarowywał dom. Dorabiał jeszcze na pół etatu, aby zgromadzić nieco gotówki, kiedy otrzymał mieszkanie w bloku.

I tak mijają lata bez wczasów.

W CZASAMI

terminów poszczególnych turnusów. Ostateczne decyzje zapadną w najbliższych dniach.

Ponad połowę wypoczywających będą stanowić w „Celmie” robotnicy, dla

HENRYK URBAŃCZYK z Zakładów Mechanicznych w Wadowicach:

Zakłady w Wadowicach są filią Kombinatu Metalurgicznego „Łabędy”. Pracuje tu blisko 600 osób, które przeważnie dojeżdżają do pracy z pobliskich wiosek.

— Dysponujemy blisko stu miejscami wypoczynkowymi — mówi kierownik zakładu d/s pracowników Andrzej Gwoździwicz — w domach wczasowych Kombinatu w Świnoujściu, Kołobrzegu, Wierzy i Polanicy. W zasadzie wszyscy, którzy w terminie złożyli swoje podania, otrzymają w tym roku przydział. Większość chce korzystać z wczasów w lipcu i sierpniu.

W lutym umieszciliśmy na tablicy ogłoszeń pismo — stwierdza referent ośrodku d/s wypoczynku i rekreacji Helmut Pikoń — w którym informowaliśmy o składaniu podań o wczasy i formie przydziału. Wpłynęło ich blisko trzydzieści. Specjalna komisja, składająca się z przedstawicieli Rady Zakładowej oraz mężów zaufania, rozważyła podania. Sukcesywnie przyznajemy miejsca na turnusy następne. Kilka podań zostało wycofanych. Niektórzy zaś na tym licząc rezerwowali po 5-6 miejsc, a potem chcieli zredukować do dwóch osób. Takie stawianie sprawy utrudnia nam właściwe rozważanie i odpowiedni, terminowy przydział.

Zofia Ficel — pracownica fizyczna — w przedsiębiorstwie pracuje 12 lat. Z wczasów zakładowych nie korzysta prawie wcale. W tym roku miałam nadzieję, że wspólnie z rodziną udamy się nad morze. Niestety zmuszona byłam zrezygnować. Nieprzewidziane wydatki pożyły nam plany.

Janina Mikszta i Józef Pocyna zrezygnowali z wczasów z tych samych lub podobnych względów. Remont mieszkania, sprawy rodzinne, duży koszt, uciążliwa podróż.

W całym pliku podań tylko trzy rezygnacje. Być może nie skorzysta z wczasów również Teresa Cieleban, jeżeli nie prosi ich w takim terminie, o jaki któryś ma podanie. Dla Wiesława Grzyby, nad morzem za zimno. Czesław Książek przeżył się dalekiej podróży w załoczo-

JADWIGA LACH-ROSOCHOWA z ZCh „Oświęcim”:

Baza wypoczynkowa oświęcimskiego kombinatu jest bogata i różnorodna. Kombinatu posiada własne wczasy w Zakładzie i Makowie Podhalańskim (za wczasy 145 miejsc), dom wczasowy-sanatoryjny w Kołobrzegu (ze 160 miejscami), ośrodek campingowy w Międzybrodziu Bielskim (dla 200 osób) oraz

Powoduje to określone trudności w organizacji pracy, ale także — niepełne wykorzystanie posiadanej bazy wczasowej w czerwcu oraz w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu.

nym pociągu i postanowił spędzić swój urlop w ośrodku wypoczynkowym w Wiśle.

Andrzej Gwoździwicz: — Nie jesteśmy w stanie zapewnić naszym pracownikom przewozu nad morze. Każdy musi dojechać sam. Interwioaliśmy kilkakrotnie w Kombinacie, ale daremnie. Zaproponowali przelot samolotem, ale suma 600 złotych od osoby jest stanowczo za wysoka jak na możliwości naszych pracowników. Koszt jednego miejsca nad morzem wynosi 1.800 złotych na dwa tygodnie. Pracownik dopłaca do wczasów średnio od 150 do 600 złotych w zależności od zarobku.

Dlatego z wczasów zakładowych nigdy nie korzystał pracujący w „Łabędach” 16 lat Bronisław Stybak?

— Gospodarstwo, panie! Urlop to ja spędzam w polu. Jest tyle roboty, że o wczasach to wstyd myśleć.

Dlatego ślusarz Tadeusz Sabuda, człowiek młody i energiczny, od 12 lat nie był na wczasach?

— Jeżeli ktoś chce mieć własny kąt, to powinien zbudować sobie własny domek. W czasie urlopu to ja zrobię sporo roboty. Ani żona, ani dzieci nie mają o to do mnie pretensji.

Józef Boguń — elektryk, Władysław Bojęs — galvanizator: — Nam to dobrze tutaj. Mieszkamy prawie na wsi. To przecież do nas zjeżdżają wczasowicze, a zatem klimat tu tak samo dobry jak gdzie indziej. Jak przyjdzie ten urlop, to człowiek się cieszy, że może posiedzieć w domu. Zrobi się coś na gospodarstwie, koło obejścia i jest dobrze. Większość naszych ludzi, to chłopo-robotnicy, którzy w zasadzie wczasy nie są potrzebne.

Wiesław Woźniak, kiedy otrzyma urlop, zabiera rodzinę do starego „fiatka”, upycha w bagażniku namiot i jedzie do swoich pod Nowy Targ.

— Mam las pod nosem, działkę w Choczni mówią szlifierz — Janina Pindel — a więc czego mi trzeba? Morza na oczy nie widziałam i wcale za nim nie tęsknię. Podań na wczasy nie składałam i składać nie będę, słyszałam, że nie wszystkim przyznają. A tak w ogóle, to po co jeździć gdzie indziej, jak u nas tak ładnie...

sezonowy dom wczasowy w Dąbkach nad morzem (dla 130 wczasowiczów w turnusie). W lipcu i sierpniu w ośrodkach tych przebywać będzie blisko 6 tysięcy osób; grubo więcej, niż przewidują tzw. normatywy. Ponadto około 300 młodzieżowców corocznie bierze udział w obozach organizowanych przez zakładową organizację

ROBERT DANIEL

„Banialuka” nad Renem

(Korespondencja własna z RFN)

Kiedy rankiem, 10 maja, dyrektor Jerzy Zitzman zebrał wsiadających do autokaru członków zespołu Państwowego Teatru Lalek „Banialuka”, nie używał patetycznych słów, nie przypominał o roli „ambasadora” kultury polskiej, którą wypadnie im pełnić. To się rozumiało samo przez się. Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych w Bochum (Niemiecka Republika Federalna), na który zostali zaproszeni, zbiegał się wszak w czasie z obchodami Dni Kultury Polskiej w RFN, a bielski teatr lalkowy miał być jedynym reprezentantem naszego kraju na tej liczącej się ogólnoeuropejskiej imprezie artystycznej.

Jako człowiek z zewnątrz, czułem się początkowo w zgranym kolektywie „lalkarzy” nieco nieswojo, zdawałem sobie jednak sprawę, że oto otwieram się przede mną niepowtarzalna chyba szansa podparcia pracy zespołu od podszewki, uczestniczenia w tym cudownym misterium, za sprawą którego Basie i Urszule, Wojtki i Leszki przeistaczają się w bajkowe postacie ulubionych dziecięcych bohaterów.

Byłem ciekaw wszystkiego: i tego, jaka jest droga aktorów do teatru lalkowego, i warunków pracy, i sposobu tak zwanego organizowania widowni, i spraw repertuarowych. Mówiono ze mną, jak to w podróży, zupełnie szczerze, nie uchylając się od odpowiedzi na żadne pytanie, ale najwięcej wyniosłem jako bierny uczestnik namiętnych dyskusji: toczonych przez aktorów w ich własnym gronie. Słuchając, przekonałem się, że są to ludzie, którzy nie przestają żyć sprawami teatru, gdy tylko opadnie kurtyna, że sztuka jest dla nich czymś, co wypełnia im życie nie „od — do”, lecz prawie w całości.

Thukliśmy się do owego Bochum bite trzy dni; wstawaliśmy wcześnie, by o umówionej szóstej autokar mógł ruszyć, kładliśmy się późno, nieraz po północy. Trudno ten rodzaj podróży nazwać nie tylko luksusowym, lecz choćby wycieczkowym. A potem, już w górniczo-hutniczym Bochum, dziesięć przedstawień w ciągu czterech dni. Praktycznie oznaczało to wyczerpującą, trzymającą w nieustannym napięciu pracę przez kilkanaście godzin na dobę. A jednak nie słyszałem ani słówka skargi, ani jednego westchnienia w rodzaju „a bodaj się już to skończyło”. Nie, Barbara Kania nie znajdowała wprawdzie dość siły, aby przejść cały dom towarowy, ale na scenie, ze wstążeczkami we włosach, dygała tak

wdziecznie: lekko, jakby miała lat najwyżej...naście. Urszula Pietryszyn, potężnie zakatarzona, i z gorączką kwalifikowała się do natychmiastowego L-4, ale przed dziecięcą widownią demonstrowała tyle temperamentu i wigoru, że nikt by nie przypuszczał, iż cokolwiek jej dolega. Kierownik artystyczny zespołu, Irena Zitzman cierpiała na chrypę: ból gardła, ale na scenie jej alt brzmiał czysto i mocno...

Powie ktoś: była to sytuacja przymusowa, trudno przecież odwoływać spektakl — i to za granicą — z powodu czyjegoś kataru, a dublerów wszak do RFN nie powieziono. To prawda. Ale prawda jest również, że trzeba swój zawód naprawdę i po prostu kochać, by nie markować roboty, ale ją rzetelnie wykonywać. Opowiadał mi Wojciech Deneta, że kiedy podejmował pod odbyciu zasadniczej służby wojskowej pracę adepta w teatrze — uprzednio był nauczycielem — stracił finansowo. „W latach siedemdziesiątych ludzie naszego zawodu uzyskali znacznie lepsze warunki materialne — zwierzał się — ale choćbym miał zarabiać jeszcze mniej, niż dawniej, nigdy bym nie porzucił sceny”.

Jest w aktorstwie jakaś magia, działa jak narkotyk, od którego trudno się oderwać. Pierwszy spektakl „Banialuki” w Bochum nie należał do zbyt udanych. Ledwie zjawili się w pięknej skądinąd sali widowiskowo-kinowej Lessingschule przy Ottilienstrasse, ogarnęły mnie złe przecucia — kilkusetosobowa grupa dzieciaków była rozwrzeszczana, rozbiegana, nauczyciele bezskutecznie zrywali sobie gardła, by je przywołać do porządku. Nie dotarli zatem do widowni: słowa poprzedzającego każdy akt streszczenia w języku niemieckim i dzieci musieli się w efekcie czuć na przedstawieniu tak mniej więcej, jak czuje się widz w czasie emisji filmu w obcojęzycznej wersji językowej. Czyli kłops...

Aktorzy — i nie tylko oni, również pracownicy techniczni — sprawiali wrażenie głęboko nieszczęśliwych. Może sztuka źle dobrała? Może zbyt literacka, zbyt polska? Wątpliwości było sporo, ale tylko do... następnego przedstawienia.

Tegoż samego dnia, kiedy zasiadło w sali Lessingschule „tylko” kilkadziesiąt dzieci, po części z rodzicami, okazało się, że i sztuka dobra, i gra zrozumiała dla widzów, i w ogóle sukces. Dziecięcia publiczność żywo, spontanicznie reagowała na przedstawienie, posypały się oklaski,

a gdy ścichły ostatnie słowa pożegnalnej piosenki, zespół musiał trzykrotnie wychodzić przed kurtynę.

— Udało się!

— Redaktorze, proszę nam pogratulować!...

Przyznam się, że i mnie lżej się zrobiło na duszy, że cieszyłem się razem z zespołem i sam nie wiem, z czego bardziej — czy z tego, że podobał się polski zespół, czy też z tego względu, że cieszą się nasi? Jestem wszakże odtąd pewien: dla prawdziwego aktora jedyną prawdziwie wartościową nagrodą za jego wysiłek jest uznanie widzów. To ono stanowi ów haszysz, który zapala blaskiem żrenice, napina energią wiotczące mięśnie, to jest ów cudowny środek dopingujący, który podrywa do galopu wówczas, gdy zwyczajnie nie starczyłoby sił na truchełki.

„Banialuka” odniosła w RFN autentyczny sukces. Już nazajutrz po pierwszym „maratonie” (trzy spektakle w ciągu dnia!) oglądałem w dzienniku wieczornym zachodniemieckiej telewizji: kilkuminutową audycję poświęconą w całości Festiwalowi Teatrów Lalkowych, podczas której spośród dziewięciu uczestniczących w imprezie zespołów zagranicznych, zaprezentowano tylko Babkove Divadlo z Koszyc (Czechosłowacja) i właśnie naszą „Banialukę”. Autorka audycji, red. Ruth Speer, mówiła z uznaniem o kunszcie aktorskim zespołu polskiego, o walorach widowiskowych inscenizacji i scenografii, pochlebnie oceniła też wybór sztuki, która — choć mocno osadzona w beskidzkim folklorze — w jakiś sposób koresponduje przeciw z charakterem wielkoprzemysłowego centrum Westfalii, gdzie została przedstawiona festiwalowej publiczności. Jakoż istotnie, fabryczne kominy, stanowiące tło dla „Kowala”, są w Bochum organiczną częścią miejskiego krajobrazu...

Mówiąc o pełnym sukcesie „Banialuki”, mamy na myśli nie tylko uznanie TV (drugi, obszerniejszy program poświęcony zespołowi polskiemu nadano 16 maja, a oprócz tego specjalna audycja zapowiadana jest na lipiec), nie tylko pochlebne recenzje zachodniemieckiej prasy, ale przede wszystkim — autentyczne zainteresowanie publiczności, jej prawidłowa reakcja na treść sztuki, przeżycia, których dostarczyły jej spektakle — mimo iż znaczną rolę pełni w „Kowalu” tekst literacki, który — z uwagi na barierę językową — był widowni niemieckiej niedostępny.

Literatura, muzyka, sztuka — to dziełziny ludzkiej twórczości już z samej

swojej istoty w jakimś stopniu interakcjonalne. Mimo bowiem wszystkich dzielących narody różnic, człowiek zawsze podobnie reaguje na te same zjawiska, w zbliżony sposób wyraża swoje myśli i uczucia. Dotyczy to zwłaszcza twórczości dziecięcej i dla dzieci, czego najbardziej chyba symptomatycznym przykładem jest baśń. Te same motywy i wątki, które czyta się i opowiada w polskich domach, przykuwają wszak uwagę dzieci nad Humberem i Gangesem, nad Tybrem i Amazonką. Co zaś najciekawsze — większość z nich upowszechniła się już wówczas, gdy sztuka czytania i pisania była prawie wcale nieobecna...

Banialuka” pojechała do Bochum jednym z takich wątków, przebiegających literacko przez dzieje Morcinka. Opowiada on o pewnym kowale, który w nagrodę podkucie wędrowcowi osiołka otrzymuje beczułkę, przemieniającą cudownie wódo w wino, worek, który chwytą, kogo kto kowal zapragnie, i wreszcie moc więzienia na gruszy każdego, kto sięga po owoc z tego drzewa. Dzięki umiejętności spożytkowaniu magicznych przedmiotów, wałęsa się trony, a kowal przemienia pieczę nad królestwem, w którym rządzi odtąd sprawiedliwość.

Nie ma w tym wątku właściwie czego nie spotkałoby się w setkach innych baśni, ale tu w RFN, bardziej jakby stała się jego wymowa i narodowa. Sztuka powstała w Śląsku, gdzie ucisk reprezentował nie tylko inny, jak Niemcy, gdzie walka o polskość miała zatem charakter zdecydowanie klasowy. Głębokiej symboliki upały można zatem w fakcie, że tę w polską sztukę prezentował niemieckim dzieciom — głównie w szkołach — polski zespół...

Międzynarodowe festiwale lalek w Bochum mają długą, bo liczącą lat dziesięć tradycję. Impreza jest organizowana wspólnie przez zachodniemiecki Instytut Teatrów Lalkowych i wrocławskie Bochum, a patronat nad nią sprawuje osobiście nadburmistrz Juergen Kluender. Jak podkreślił w czasie inauguracji festiwalu pierwszy obywatel Bochum, przegląd sztuki jest dla nich nie tylko sposobem na poznanie się i zaprezentowanie publiczności miasta, głównie dzieci, ale i najlepszy repertuar i najlepszych zespołów europejskich. Cieszy się z pierwszych zaliczonych sukcesów Morcinka, a do drugich — zespół bielskiego teatru „Banialuka” zyskuje zatem renomę międzynarodową. W ubiegłym roku zaliczyła Jugosławię i Bułgarię, w bieżącym RFN i Hiszpanię, a zaczyna ją napawać wciąż nowe propozycje wyjazdowe, niektóre z rocznym nawet wyprzedzeniem...

Czy można dzielić teatry na kulturalne, dramatyczne, muzyczne itd.? Kulturalne, biorąc — na pewno tak. Ale w istocie rzeczy, znacznie ważniejszy jest podział inny — na teatry dobre i złe. Nie sielscy „lalkarze” uprawiają po prostu prawdziwą sztukę. Fakt, że jej głównym odbiorcą jest audytorium dziecięce, a nie dorosłe — przydaje jej tylko znaczenia.

IRENA JAROCKA:

Taki jest mój styl...



Należy do grona najpopularniejszych wykonawców polskiej piosenki. Jest laureatką wielu festiwali, plebiscytów, m. in. niedawno została piosenkarką roku 1976 w plebiscyście czytelników „Panoramy”, a jej przebieg zaty-

lowany „Odpływają kawiarenki”, zdobył miano piosenki roku.

Przed kilkoma tygodniami pani Irena występowała w Bielsku. Korzystając z okazji zadaliśmy popularnej piosenkarsce kilka pytań.

— Jak spędziła pani ostatnie miesiące?

— Rok miniony był dla mnie bardzo ciekawy, a jednocześnie zróżnicowany. Dużo podróżowałam, byłam m. in. w Japonii, Portugalii, USA, Kanadzie, Czechosłowacji i NRD.

Na ekrany wszedł film pt. „Motylem jestem, czyli romans czterdziestolatka”, w którym gram jedną z głównych ról.

Ukazała się w sprzedaży moja druga duża płyta, zatytułowana „Gondolierzy znad Wisły” (Pronit SX 1349), z której kilka piosenek stało się przebojami. Były to m. in. „By coś zostało z tych dni”, „To co zdarza się raz”, „Sto lat czekam na twój list”, no i oczywiście „Kawiarenki”...

— Podobno zamierza pani występować w innej roli...

— Z bardzo interesującą propozycją zwróciło się do mnie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Już w najbliższym czasie, przy okazji moich koncertów, będę organizowała spotkania — dyskusje, których tematem będzie Francja. Będziemy dyskutować nie tylko o piosence, ale też o kulturze, życiu codziennym i ciekawostkach z życia tego kraju...

— A plany artystyczne?

— Przygotowuję kilka programów telewizyjnych. Jak mi się wydaje, najciekawszym z nich będzie show w reżyserii Janusza Rzeszewskiego, którego gościem będzie znany francuski choreograf Amadeo. Wystąpi on z własnym baletem, be-

dział też śpiewał; jest znakomitym showmanem. Najlepiej jednak tańczy... Emisja programu w maju, w popularnym cyklu telewizyjnym, zatytułowanym „Tylko w niedzielę”.

Przygotowuję też własny recital telewizyjny, do którego scenariusz napisał Marek Dutkiewicz, a reżyserować będzie Jerzy Gruza.

Najbliższe miesiące wypełnią mi: koncerty, nagrania płytowe i programy telewizyjne m. in. w RFN, Francji, ZSRR, NRD, Czechosłowacji, Wielkiej Brytanii i USA.

Powoli zaczynam myśleć o następnej, trzeciej już dużej płycie. Za kilka dni nagram pierwsze piosenki...

Jak wiadomo, od dawna stale współpracuję ze znakomitym kompozytorem i aranżerem Wojciechem Trzcińskim. Obecnie chciałabym nieco zróżnicować klimat moich piosenek, dlatego też myślę o nawiązaniu współpracy z kilkoma znakomitymi aranżerami (J. Korman)...

Od niedawna mam własny zespół muzyczny, który nazywa się „Atlas”. W jego skład wchodzi: Marian Kosecki — gitara basowa; Zenon Miluski — gitara; Maciej Stefanow — perkusja; Adam Pawlikowski — organy Hammonda, fortepian, kierownik muzyczny; Maciej Karpieński — skrzypce, flet. W programie występują też: Ryszard Szwejczer i Marian Zacharewicz.

Do mojego najnowszego repertuaru zamierzam włączyć kilka przebojów amerykańskiego piosenkarza polskiego pochodzenia Bobby Vintona m. in. piosenkę „My Melody of Love”.

— Nie wszyscy wiedzą, że jest pani absolwentką Wydziału Wychowania Fizycznego i Biologii Studium Nauczycielskiego.

— Sport, który uprawiałam przed laty, a była to gimnastyka artystyczna, pozwoliła mi uzyskać przede wszystkim sprawność fizyczną i kondycję, co jest „procentuje” w trudnej i wyczerpującej pracy estradowej. Sport nauczył mnie też wytrwałości...

Zafascynowana wynikami Wojtki Fiedoraka, zakupiłam sprzęt niezbędny do gry w tenisa ziemnego. Z niecierpliwością oczekuję kilku wolnych dni, podczas których po raz pierwszy „wybiegnę” na kort.

— Jak każdy z nas, ma pani jakieś ukryte marzenia...

— Przed laty uczyłam się malarstwa i rysunku u prof. Lamma w Gdańsku. Przygotowywałam się nawet do egzaminów wstępnych na architekturę.

A tak naprawdę, to już od najmłodszych lat marzyłam o tym, żeby być architektem, no ale jak to zwykle w życiu bywa plany się zmieniały i z architektem piosenkarką — czego dzisiaj nie żałuję.

Tak więc, rysunki poszły na bok, myślę, że w przyszłości, gdy będę miała więcej czasu dla siebie, to „czas” poświęcić na kopiowanie mojego ulubionego tematu, jakim jest przyroda...

— Miłe chwile?

— Wydał mi się, że są to momenty udanego koncertu. Na ulicy, gdy spotykam nieznajomych mi ludzi, którzy uśmieją się być znajomymi, przez ich uśmiechy. Listy, których otrzymuję bardzo dużo, zawierają wiele serdeczności...

Postaram się nie zawieść mojej publiczności i będę zawsze poszukiwać nowych piosenek — tych dla relaksu, słuchania, do zanużenia, bo taki chyba jest mój styl...

Tekst i foto
LESLAW SAGAN

TADEUSZ PATAN

Fałszywy trop

W zasadzie mogłem już zakończyć sprawę. Miałem winowajcę. I całą furę dowodów. Mówię mu: — Byłeś z nim tego dnia, widziano cię! — Ano byłem — odpowiada po deirzany. — Na pewno mnie widziano! — Wkurzyłem się: — Widziano cię na miejscu zbrodni, ty... ty... Wzruszył ramionami: — Możliwe. Może tam byłem. Nie pamiętam... — I gadał tu z takim. Nic, tylko zamknąć teczkę, umyć ręce i zająć się następną sprawą.

Łatwo powiedzieć... Wyrwano mnie wówczas ze snu nad samym ranem. Fiat czekał już pod domem. Na pytanie, dokąd jedziemy, kierowca mruczał pośpiesznie: — Daleko... Zdręmałem się. Było już szaro, gdy dojechaliśmy na miejsce. Prószył drobny śnieg, mróz ściał kałuże kruchą warstwą lodu. Zobaczyłem przed sobą niski, cmentarny mur, wierzchołki grobowców, pomniki, cyprysy. — Też wybrał sobie facet

— pomyślałem, wiedząc już, że o zbrodni. Niechętnie wygramoliłem z przytulnego wnętrza samochodu i oraziło mnie światło reflektorów. Jeden z miejscowych radiowozów wjechał na miejsce zdarzenia. Obok ścieżki biegł wzdłuż cmentarnego muru, dły zwłoki mężczyzny. Było już na tyle jasno, że zobaczyłem twarz tego człowieka. A raczej coś, co było kiedyś jego twarzą. Krew stęczała już na mrozie. Włosy, brwi i długo niegoloną zarost pokrywał szron. Oczodoły wypełniał śnieg, lekko zaróżowiony. Wyzywałem się powoli resztek senności. Umysł zaczął pracować analitycznie. Jeśli śnieg jest różowy, to znaczy, że spadł na krew, która nie zdążyła jeszcze stężeć. Przywołałem mundurowego milicjanta. — Od kiedy sypie? — zapytałem, ale on wzruszył ramionami: Mam Spalem, obywatelu inspektorze. Mam

— Iny dzień... — Miałeś mieć wolny dzień, chłopce — pomyślałem, wiedząc, że do czasu, gdy złapiemy sprawcę wolnych dni nie będzie. Włóż nieco łagodniejszym tonem wydałem polecenie: — Poszukajcie kogoś, kto chodził po nocy, sierżancie. Chcę wiedzieć, kiedy zaczął padać śnieg, kiedy temperatura spadła poniżej zera. — Tak jest... watelem... kto... — trzasnął obcasami i już pochłoniął go mrok wczesnego poranka.

W zasadzie nie miałem tu już wiele do roboty. Od godziny przeszukiwano skrupulatnie miejsce zbrodni. W jednym z radiowozów zebrano wszystkie przedmioty, znalezione w promieniu kilku metrów od zwłok: dwa wełniane szaliki, dwie chusteczki, tanie, okraśnięte lusterko z rożnegożowa Lollbrigida na odwrocie, monetę dziesięciocentową, kilka niedopalonych papierosów, jakieś pudełko i... dwa rubinowe korale. Spojrzałem wymownie na porucznika, pełniącego obowiązki szefa referatu kryminalnego przy Komendzie Miasta MO w Oświęcimiu...

— Znaleźliśmy te korale pod zwłokami. Leżały między ciałem a śniegiem. Wniosek logiczny: korale należały albo do mordercy, albo do ofiary. Przy denacie nie było pozostałej części naszyjnika. Mamny już dokładne informacje o warunkach atmosferycznych, panujących tej nocy. Niepotrzebnie trudziłeś sierżanta, inspektorze. Otóż wieczorem, gdzieś między 20 a 21, spadło około 3—4 centymetrów śniegu. Potem rozpozodziło się. Zaczęło ponownie padać o 5 nad ranem. Mniej więcej o tej porze nastąpił również gwałtowny spadek temperatury. Kałuże dopiero co zamarzły...

Stuchalem zwyczajnych, lakonicznych informacji kierownika referatu, analizując jednocześnie sytuację. A wice zabójstwa dokonano między godziną 21 wieczorem a 5 rano. Denat leży na śniegu, który spadł przed godziną 21. Jego zwłoki przyniosło cienką warstwę świeżego śniegu — Nie ufaj pozorom — pomyślałem i zaraz przyszło mi do głowy inne rozwiązanie. Denat ginie tuż przed godziną 21. Jeszcze pada śnieg, ale mokre płatki,

w zetknięciu z ciepłym jeszcze ciałem, natychmiast topnieją. Zwłoki powoli stygną. Temperatura otoczenia spada. — O której znaleźniono ciało? — pytam, sprawdzając moją teorię. — O 5.15. Jakiś ranny płaszczyk polknął się o trupa i zaalarmował Pogotowie Ratunkowe. To tu, w pobliżu. Sanitarka zjawiała się w przeciągu kilku minut. Dyżurny zawiadomił nas o wypadku. Byliśmy na miejscu w kwadrans później. Nie czekaliśmy na was, bo śnieg zasypywał ślady...

— Cholerny śnieg! — pomyślałem i wówczas wpadłem na pomysł. — Zobaczcie, jak daleko sięgają ślady bójki — powiedziałem, zwracając się do mundurowych funkcjonariuszy, których przybywało z każdą minutą. — I spróbujcie oczyścić ten rejon. Wodą, solą, czymkolwiek. Chciałbym tu widzieć za kilka minut gołą ziemię.

Miałem trochę czasu. Przyjrzałem się ponownie zabitemu. Miał zmasakrowaną twarz. Wszystkie kieszenie — wyciągnięte na zewnątrz.

A więc mord rabunkowy! — pomyślałem i znów zapaliło się w moim mózgu czerwone, ostrzegawcze światło: — Uważaj! To mogą być pozory! Nie wierz pozorom! — Miał coś przy sobie? — zapytałem. — Zaprzeczali. „Oczyszczony” dokładnie. Może znajdziemy coś pod śniegiem, ale szkoda czasu. — Podajcie do komendy — poleciłem kierowcy radiowozu. — Mężczyzna, lat 32 — 33, schludnie ubrany, wysoki, włosy ciemne. Niech pytają. W barach, restauracjach, na dworach. O wszystkim meldować. Wy zostańcie tutaj, kapralu, z radiowozem...

Zjadłbym coś. Ale stąd do najbliższej restauracji kawał drogi. — Dajcie połowę — mówię do sierżanta, który odwija właśnie pajdę chleba. Oddaje mi całą kromkę. — Jestem po śniadaniu — tłumaczy, uwalniając mnie od wyrzutów sumienia. Chleb z boczkami. Długo takiego nie jadłem. — Ze świnobicia? — pytam nie ukrywając zadowolenia. — Uhm! — mruczy sierżant. — Teściowa była proszaka... — Zajeżdża pomarańczowy Star. Zakład Oczyszczania Miasta. — Wodą nie poradzi — klaruje swym ludziom chudy mężczyzna w uszatce. — Marznie. — Wzruszając ramionami, rozglądając się ciekawie dookoła. — Kogoś tu zaciukali? — pyta jeden. Odpowiada mu milczenie. Nasi ludzie nie są rozmowni. Ale spod świeżej warstwy śniegu, który szarzej gwałtownie w zetknięciu z chłodem sodu, wyłaniają się plamy krwi. Ten w uszatce komentuje dosadnie: — Skur...

Skrzeczy radiostacja. Są pierwsze meldunki z terenu. Ktoś widział, jak wrzucano ludzką głowę do Soly. Bzdura. Ktoś inny przysięga: — To Franek J. Jak bihme! — Jada do tego Franka. Jeszcze nie wytrzeźwiał. Ale żyje. Wśród gapiów coraz więcej kobiet. — Mój nie wrócił na noc, może to on? Jak wyglądał? Ano łysy, bez ręki. Wiesz o morderstwie pod cmentarzem obiega wkrótce całe miasto, kolportowana tym razem gorliwie przez naszych ludzi. Wreszcie, gdzieś koło południa, zajeżdża pod cmentarz funkcynny Fiat na cywilnych numerach. Równocześnie, drogą radiową dociera informacja od oficera dyżurnego Komendy Miasta: — Posyłam wam faceta, który twierdzi, że zna denata. Sprawdźcie...

Znacznie później, gdy wokół tego człowieka zgromadziły się dowody rzeczowe, gdy on sam, pod brzemieniem tych faktów uwiarył, że jest mordercą, pomyślałem ponownie, że nie wolno mi ulegać pozorom. Marian L., na wieść o zabójstwie pod cmentarzem, zgłosił się dobrowolnie do Komendy MO i zeznał, że wraz z denatem, Andrzejem P., mieszkańcem Chełmka, zatrudnionym w Fabryce Papy w Oświęcimiu, wędrował krytycznego dnia od knajpy do knajpy, od baru do baru, tu popijając piwo, ówdzie wódkę. Rozstali się w Rajsku, około godziny 17 i od tej

pory nikt już nie widział Andrzeja P. Nie przypuszczaliśmy, aby L. w tak wyrafinowany sposób odwracał uwagę od swojej osoby. Ale nie mieliśmy innego podejrzanego. Bez większego przekonania przeprowadziliśmy przeszukanie w jego domu. Wynik był zaskakujący: znaleźliśmy rozerwany sznur koralu. Ekspertyza była tu prawie zbędna: identyczne korale zabezpieczyliśmy na miejscu zbrodni. L., zapytany, skąd naszyjnik znajduje się w jego posiadaniu, nie potrafił udzielić odpowiedzi. Kiedyś go kupił. Potem, gdy zabrakło mu na piwo, chciał sprzedać. Czy sprzedał, nie pamięta. Nie wie również, dlaczego naszyjnik jest rozerwany i skąd kilka koralu znalazło się na miejscu zbrodni. Prokurator bez zastanowienia wydał nakaz aresztowania podejrzanego. Nie wierzył po prostu w metafizykę. Muszę przyznać, że i mnie opadły wkrótce wątpliwości. L. nie miał alibi na krytyczną noc. Powtarzał tylko swoje „nie pamiętam”, gdy przedstawiono mu dalsze dowody, wzruszył ramionami, oświadczaając: — Może rzeczywiście zabiłem? Kto wie...

Więc w zasadzie mogłem już zakończyć tę sprawę. Mieliliśmy świadków, którzy widzieli podejrzanego z denatem tamtego wieczoru około godziny 20. Odszukaliśmy ludzi, którzy spotkali go o północy. O cztery minuty drogi od miejsca zbrodni. Udało nam się również stwierdzić, że Andrzej P. żył jeszcze o godzinie 1.35. Zeznała portierka pogotowia ratunkowego: — Ktoś zapukał w okno, poprosił, aby odwieźć go do domu. — Odmówiła. Nieznajomy odszedł w kierunku, gdzie rano znaleziono zwłoki. Czy był to Andrzej P? Portierka podała zgodny rysopis. Dla pewności, zaprowadzono ją do prosektorium. Rozpoznała denata. Krag dowodów wokół Mariana L. zamknął się szczelnie. Ale świadomości, że dochodzenie prowadziśmy w jednym kierunku, że wątpliwości, wcale co prawda, lecz istniejące, podporządkowaliśmy faktom obciążającym, nie pozwalała mi przejść do porządku dziennego nad tą sprawą, zamknąć teczkę z aktami i umyć ręce...

Miałem jeszcze trochę czasu. Ubranie podejrzanego badano właśnie na obecność mikrośladów, gdy postanowiłem odrzucić wszystkie sugestie, świadczące o winie Mariana L. i rozważyć inny wariant wydarzenia pod cmentarzem. Miałem w aktach zeznanie pewnej kobiety, która przechodząc w pobliżu miejsca zbrodni około godziny 20.30 — zauważyła tam kilku pijanych, sprzeczkających się mężczyzn. Wiedziałem o wypadkach pobicia w sąsiedztwie restauracji „Kosmos”. Nasza struktura donosiła, że przewodnikiem tych bójek jest „młody, wysoki mężczyzna”. Postanowiłem przyjrzyć się bliżej tym „bohaterom” nocnych wydarzeń i z bólem serca nie odwołałem alarmu w sprawie zabójstwa pod cmentarzem. Wręcz przeciwnie. Wyjechałem w kierownictwie Komendy Miasta MO w Oświęcimiu decyzje, na mocy której pełny stan osobowy został podporządkowany moim rozkazom. Byłem mile zaskoczony reakcją miejscowych funkcjonariuszy MO. Wiedzieli, że mam podejrzanego. Wiedzieli, że dowody, jakimi dysponuję, wystarczą co najmniej na ówczesnego wieku, mamra, a jednak uznali moje racje i rozpoczęli robotę od początku. Wywiady, rozmowy, przesłuchania przeprowadzano najchętniej poza normalnymi obowiązkami służbowymi. Okolicie „Kosmosu”, gdzie jak miejska wieść niosła, „bija bez powodu”, były nasznikowane patrolami MO. W zacięzionych zaułkach dyżurowały radiowozy. Funkcjonariusze milicji, najczęściej w cywilnych ubraniach utrzymywali przy pomocy radiotelefonów stałą łączność z ośrodkiem dyspozycyjnym w Komendzie Miasta. Po kilku dniach takiej obławy, spod „Kosmosu” nadeszła wiadomość, że grupa pijanych osobników wywołała bójkę. „Zwinciliśmy” wszystkich. Nie mieliśmy żadnych podstaw, aby incydent pod „Kosmosem” łączyć z zabójstwem koło cmentarza. Postanowiłem jednak poddać próbie nerwów uczestników bójki. Niejaki Ch., zanytany, co porabiał w nocy z 25 na 26 listopada, wykazał szczególne podniecenie. W momencie, gdy padło nazwisko Andrzeja P., zerwał się z krzesła i przerywając przesłuchanie, co inspektorowi referatu kryminalnego Komendy Miasta, wyrzucił z siebie jednym tchem: — Pobić, to ja może kogoś pobijem, ale w zabójstwo to wy mnie nie wrobicie! Przenijdy! — To zależy — powiedziałem

chłodno. — To zależy, czy złapiemy prawdziwego mordercę...

Popatrzył na mnie przerażony: — Ja nie wiem. Nie byłem tam. Wiesław F. pokazywał mi tylko zegarek. Niklowanego ZIM-a. Mówił, że to ... tamtego...

O 6 rano wyciągnęliśmy z łóżka zaskoczonego Wiesława F. W piwnicy odkryliśmy szczątki spalonych dokumentów. I zwęgloną oprawkę dowodu osobistego. Brązową. W takiej oprawce nosił swe dokumenty Andrzej P. — Dlaczego go zabiłeś? — zapytałem, stawiając wszystko na jedną kartę. Był zaszany, półprzytomny i przerażony. — To nie ja! — wyszeptał. — To Józek...

Andrzeja P. znali z widzenia. Krytycznej nocy spotkali go w restauracji „Teatralka”. Był podpiity. Wychodząc, kupił jeszcze w bufecie pół litra wódki. Poszli z nim. W drodze, właśnie koło cmentarza, gdzie zwykle ciemno i pusto, Józef K. oświadczył, że trzeba odebrać mu te pół litra. Zdjął płaszcz, chwycił za oba ramiona i zaciął sporządzoną w ten sposób pętlę na szyję Andrzeja P. Zaczął dusić. — Trzeba go wykończyć, bo powie, kto to zrobił — oświadczył, wzmacniając ucisk. Andrzej P. stracił przytomność. — Zobacz, czy mu serce jeszcze bije — poleciał F. Biło jeszcze. Więc porzucił ciało i zaczął kopać leżące w głowie. — Sprawdź teraz — ponowił żądanie. F. wsunął rękę za koszulę leżącego. Wyczuł zamierający rytm serca. — Wciąż żyje! — poinformował kompana. K. kopnął ponownie. Potem nadepnął na głowę, przekreślił stopę, tak, jak roznęta się niedopałek papierosa. — Trup — orzekł teraz Wiesław P... Wówczas usłyszeli kroki. Odegrali więc scenkę rodzajową w dwóch pijaków i jednego „nieboszczyka”. Przechodząca obok cmentarza kobieta, doniosła nam o tym incydencie. I chociaż mieliśmy już jednego zabójcę, wydarzenie zainteresowało nas. Co było dalej, opowiedziałem.

Obaj zabójcy przetrzasnęli kieszenie swej ofiary, zabrali 300 złotych, tani niklowany zegarek i pół litra wódki, którą zagluszili kołaczące się jeszcze w tych zewłokach — sumienie. Wiedzieli o aresztowaniu L. Czuli się już bezpieczni. Nie znali maksymy, którą wpajano nam w szkole milicyjnej: — Nie ulegaj pozorom! Łatwe sprawy — bywają najtrudniejsze...

Tym razem rzeczywiście mogłem już sprawę zakończyć. Uczyniłem to z satysfakcją. Żadna przyjemność grzebać w bagnie moralnym, przeprowadzać wliwiskie degeneratów, pisać plugawą życiorysy, nawet, jeśli czyni się to na użytek sądu. Zamknąłem więc teczkę, umyłem ręce — dosłownie — i zająłem się następną sprawą. Była to sprawa ... pierwszego „zabójcy”: o tym, że L. nie był barankiem, wiedziałem już dawno. Należał po prostu do „paczki spod „Kosmosu”. I właśnie Wiesławowi P. i Józefowi K. proponowałem sprzedaż naszyjnika z rubinowych koralu. K. próbował zainteresować transakcją Andrzeja P. Naszyjnik, przechodząc z rąk do rąk, po prostu rozerwał się. Kilka koralików znalazło się w kieszeniach denata. A sam naszyjnik został nazajutrz zwrócony właścicielowi. Ominąłem cholernie niebezpieczną pułapkę! Wezwałem również świadków, którzy Mariana L. widzieli krytycznej nocy w rejonie miejsca zbrodni. — On czy nie on? — natarłem ostro. Zawahali się. — Może on? Ale po ciemku panie władzo...? — Szlag mnie trafił! — Człowieka posyłacie na śmierć! W ciemno — powiedziałem wzburzony. A z portierką pogotowia ratunkowego odbyłem oddzielną rozmowę. — Nieboszczyka wzięła pani tamtej nocy! — O Jezusinku złoty — krzyknęła i przeżegnała się krzyżem świętym. To była cała jej reakcja na pomyłkę, która mogła kosztować życie Mariana L.

Kazałem przeprowadzić pechowca. Dziewczyna, która protokołowała nasze poprzednie rozmowy, siedziała beczynnie. Stał u progu i spojrzał na nas wzrokiem zarzynanego barana. — Jesteście wolni — powiedziałem. Mrugał oczami, nie dowierzając. Odebrał przepustkę, podpiął jakieś papierki i będąc już w drzwiach, odezwał się nieśmiało: — Postawiłbym panu setkę, poruczniku! Ale jak Boga kocham! Od dziś nie piję. Mogę znowu zapomnieć, że jestem niewinny...

— Nisko się ceni — pomyślałem, gdy wyszedł. — Ale setkę bym wypił! Gorzko mi...

Pocztą Kroniki

O i kłopot

Z dyrekcji WPT „Beskidy” w Bielsku-Białej, z siedzibą w Żywcu, otrzymaliśmy odpowiedź na notatkę „Przypomnienie na czas” zamieszczoną w 15 (33) numerze naszego pisma:

1. W dniu 14. 08. 1976 r. zwróiliśmy się pismem do Naczelnika Miasta Żywca o przekazanie nam terenów w okolicy Łasku

Wita w celu ich zagospodarowania. Do propozycji naszej Urząd Miejski w Żywcu do chwili obecnej nie ustosunkował się.

2. Baseny pływające znajdują się obecnie w remoncie i do dnia 15. V. 1977, zgodnie z pismem Naczelnika Miasta Żywca z dnia 31. 04. 77 r., zostaną wyremontowane i przekazane Urzędowi Miejskiemu. O sposobie ich dalszej eksploatacji zadecyduje Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego.

Jak z tego wynika, nadmiar walorów rekreacyjno-wypoczynkowych jest bardziej kłopotliwy — niż brak takowych. Żywiec ma nad jeziorem piękny Łasek Wita, który od lat czeka na dobrego gospodarza. A gdy WPT „Beskidy” wyraziło chęć zajęcia się tym łaskiem, miasto nie zareagowało, mimo że od lat nie

może tego problemu rozwiązać. Z basenami pływającymi też pewnie będzie kłopot, bo jeśli „Beskidy” z nich rezygnują, to kto się tym zajmie?...

Jednak w ruderze

Odpowiadając na naszą informację z dnia 25. 03. br. pt. „Stacja PKP w ruderze”, Dyrekcja Rejonowa Kolei Państwowych w Bielsku Białej wyjaśnia, że „... poczekalnia dla podróżnych na stacji Jeleśnia istotnie jest bardzo mała i nie spełnia swojego przeznaczenia. Poczyniono już starania o modernizację budynku dworcowego ze szczególnym uwzględnieniem poczekalni. Modernizacja nie nastąpi jednak wcześniej, niż w roku 1978. Do tego czasu zobowiązano zawiązać stacji Jeleśnia, by w ist-

niejacej poczekalni utrzymywał czystość i aby w porze zimowej była należycie ogrzana.”

Tak więc, młuszą uzbroid się w cierpliwość pasażerowie, klienci PKP z rejonu Jeleśni. Przy okazji przypominamy, że nie tylko stacja w Jeleśni jest ruderą. Kiedy np. rejon PKP pomyśli o stacjach w Radziechowach — Wierzu, Ciecieniu, Rajcu i Zwardoniu? Zresztą, właściwie wszystkie stacje kolejowe na linii Bielsko — Zwardon (z wyjątkiem Milówki), są zbyt ciasne, nie przystosowane do obecnego ruchu pasażerskiego na tej trasie.

Jeszcze poczekajmy?

Odpowiadając na notatkę prasową z dnia 22. IV. 1977 Urząd Miejski w Żywcu informu-

je, że znak zakazu wjazdu dla samochodów ciężarowych postawiono w miejscu wlotu na odcinek ul. Paderewskiego, którą utwardzono żużlem. Ponadto w chwili obecnej przystąpiono do remontu ul. Wesolej i bagna na tej ulicy ulegnie likwidacji” — czytamy w wyjaśnieniu zastępcy naczelnika miasta Żywca.

Istotnie, część ul. Paderewskiego utwardzono żużlem, ale niesie to — nie cakiem. Obok budynku liceum ogólnokształcącego zwieziono żużel i... pozostało go na lasce losu, choć właśnie tam najczęściej wjeżdżają samochody. Ponadto, na czym polega owa likwidacja bagna na Wesolej? Chyba tylko na... przychylności niebios, które w maju skapią nam opadów. Urząd Miejski może zawiadzieć wysuszenie bagna. Bo na ul. Wesolej nikt nie z tego nie remon-



Pamiętacie? Od lewej: Zygmunt Hanusik, Stanisław Gazda, Józef Gawliczek i Zenon Czechowski. Startowali i zwyciężali nie tylko w wyścigu „Kroniki Beskidzkiej”. Także w Wyścigu Pokoju i wielu imprezach międzynarodowych najwyższej rangi.

Foto: Tadeusz Herma

Tradycyjny wyścig »Kroniki«

Zaczęło się wszystko w 1957 roku. Na trasie liczącej blisko 180 kilometrów najlepszym okazał się zawodnik katowickiej Gwardii — Zygmunt Kaczmarek. Trzeba jednak powiedzieć, że trasa inauguracyjnego wyścigu niczym nie przypominała kolarzom, że wyścig rozgrywany jest u podnóża Beskidów. Biegła ona z Bielska przez Czechowice, Pszczynę, Zory, Mikolów, Skoczów do Ustronia i z powrotem do Bielska, z metą na stadionie BKS przy ul. Żywieckiej. Właśnie w tych latach zaczęła jaśnieć nowa „gwiazda” polskiego kolarstwa: już pierwsze występy Stanisława Gazdy wskazywały, że czeka go duża przyszłość, że stać go na dostarczenie naszym sympatykom kolarstwa wiele powodów do radości.

Talent Staszka rozwijał się szybko. Już w drugim wyścigu „Kroniki” pokazał, jak olbrzymie drzemia w nim możliwości. Na ulicach miasta tłumy mieszkańców Bielska gorąco oklaskiwały samotnego kolarza, który niezagrożony zdążył do mety. To był właśnie Staszek, który rozegrał pojedynek z najlepszymi wówczas w kraju, pod własne dyktando. Radość była tym większa, że na drugim miejscu zameldował się jego starszy brat — Kazimierz, a dopiero na trzeciej pozycji linię mety minął słynny „elegancki lider” z Wyścigu Pokoju — Mieczysław Wilczewski. W klasyfikacji zespołowej zwyciężyła drużyna bielskiego „Startu”. W godzinach wieczornych, w restauracji „Podhalanka”, wręczano nagrody. Oto co pisał wówczas reporter „Kroniki Beskidzkiej”:

„Zwycięzca wyścigu, Stanisław Gazda, otrzymał kupon materiału ze 100-procentowej wety. Drugi na mecie Kazimierz Gazda — radioaparat „Sonatina”, Mieczysław Wilczewski, jako trzeci, nagrodzony został również radio-

aparatem „Sonatina”. Zdobywcy IV i V miejsca — Tlustochowicz i Kamiński (Gwardia Warszawa) otrzymali teczkę skórzane z importu, a pierwszy z zagranicznych gości i VI na mecie — Kurt Postl (Austria) — neser z przyborami do golienia marki „Gerlach”.

Wyścig rozgrywany był w niebywałym upale, a temperatura sięgała 30 stopni. Oto co dalej pisał sprawozdawca red. Tadeusz Patan:

„Wprawdzie radio i prasa zapomniały tym razem skrytykować organizatorów wyścigu, jednak samokrytycznie trzeba przyznać, że jednym z poważniejszych uchybień był brak napojów chłodzących na stadionie Stali. Wobec zawodników uratował opinię organizatorów znany działacz sportowy Jan Twardosz, który „spod ziemi” wytrzasnął kilka butelek oranżady, ale publiczność nigdy tej posuchy organizatorom nie wybaczę... Elek Grabowski dojeżdżając do Kubalonki, w kilka minut po czołówce, krzyknął do pozostałych kolarzy z szelmowskim uśmiechem: „Start! przypatrzcie się Gazdom motorki do d... ale niewiele im to pomoże...”

Na trasie wyczołgał się wielu kolarzy. Niecodzienną „przygodę” przeżył jeden ze znanych zawodników warszawskiej Gwardii, który jadąc w czołówce, zmuszony był do zejścia z roweru z powodu... blegunk! Znany kolarz Ruchu — Henryk Hadasik, usiłując podać wodę Wilczewskiemu — zgubił na szosie buty i „wykonał zadanie” w skarpetkach. Po butach w tym czasie przejechało kilka motocykli i samochodów...

Bardzo ciekawy był również IV Wyścig, którego zwycięzcą został Stanisław Królak. Między Skoczowem a Bielskiem kolarzy zaskoczyła starszliwa ulewa. Słana deszczu zmusiła zawodników do

zejścia z rowerów. Kilkuosobowa czołówka, w której znajdował się również Kazimierz Gazda, znalazła się niebawem w bramie jednego z domów. Po kilkunastu minutach pedalowali już wszyscy razem, a Bielsko przywitało ich wspaniałym słońcem.

Finiż był niesłychanie emocjonujący. Na stadion pierwszy wjechał Królak. Na bieżni Królak oglądał się i w tym momencie minął go Kazimierz Gazda, który przy ogromnym dopingu publiczności jako pierwszy przejechał linię mety. W nagrodę otrzymał telewizor „Wawel”, cieszył się jak dziecko. Jednak po kilku minutach komisja sędziowska odebrała bielszczaninowi nagrodę, ogłaszając zwycięzcą Wyścigu Królaka. Dopatrzone się uchybień regulaminowych na trasie, ale nikt wówczas nie umiał sprzeczyć, o co właściwie chodziło.

Takie to były te pierwsze wyścigi. Wiele emocji, zaciętych pojedynków, ucieczek i tragedii również. Na jednej z najtrudniejszych tras górskich startowali już najwięksi polscy kolarze. Ktośkolwiek liczył się w kraju, przyjeżdżał na nasz wyścig. Zwyciężał tu Szurkowski i Szozda, ale w pamięci kibiców najtrwalej zapisał się Gawliczek. Kiedykolwiek brał udział w tej imprezie, wygrywał „jak chciał”. Niewiarogodne, ale bywało, że zostawał na trasie, zsiadał z roweru, jechał w odwrotnym kierunku, a na podjazdach mijał rywali z dzieciną łatwością. Był urodzonym „góraliem”.

Za tydzień, 5 bm. czołowi kolarze naszego kraju ponownie wyznaczali sobie spotkanie na bielskich pagórkach. Gawliczek startować nie będzie, a więc... szanse wszyscy mają równe. Oby tylko dopisała pogoda!

HENRYK URBAŃCZYK

I Wojewódzka Spartakiada Młodzieży

Ponad 1000 dziewcząt i chłopców wzięło udział w I Wojewódzkiej Spartakiadzie Młodzieży, która odbyła się w kilku miastach naszego województwa. W poszczególnych grupach wiekowych i kategoriach w podnoszeniu ciężarów zwyciężyli: Andrzej Baraniak, Zbigniew Pająk, Tadeusz Hatala (wszyscy Hejnał Kęty) oraz Józef Bartczak (BKS). Wśród tenisistów ziemnych wyróżnili się: Irena Jeżak (KKS), Janusz Romatowski, Małgorzata Stokłosa (Czarni Żywiec) oraz Krzysztof Trojanowski (Chelmek). Najlepsze wyniki w lekkiej atletyce uzyskali: Barbara Pytlík, Magdalena Fułat, Cecylia Matyszka, Danuta Klisz, Elżbieta Niewdana,

Maria Kuśka, Józef Losiński, Jerzy Zareba, Sławomir Jędrak, Ryszard Jaskowski, Ireneusz Bednarski — wszyscy z MKS Bielsko, Grażyna Chybiarz, Grażyna Krzak, Anna Cieślak, Andrzej Sęk, Mirosław Werner, Andrzej Piekarczyk i Janusz Sieniec z KS Cieszyń, Wiesław Radziewicz, Andrzej Haj, Andrzej Chowaniak, Jan Zenia z Ur Oświęcim oraz Henryk Snielarski z Hejnału Kęty.

W slatkówce najlepiej справиł się chłopcy z BBS oraz dziewczęta z Beskidu Andrychów, koszykowiec drużyna ze Skaw Wadowice a w piłce nożnej Cieszyńska.

Na boiskach woj. bielskiego

KLASA — A

Łodygowice — Sola Żywiec 7:0, Zarecze — Beskid Bielsko 0:1, Skoczów — Unia II 2:0, (bramki: Dąbrowski i Hatala), Brenna — Zabłocie 0:0, Srubiarnia — Kozy 1:0, Sola Ośw. — Pogwizdów 3:0, BBS II — Radziechowy 0:0.

Skoczów	20	30	51:25
Sola Ośw.	20	29	50:24
Srubiarnia	20	26	28:21
Kozy	20	25	54:35
Łodygowice	20	24	39:21
BBS II	20	24	38:38
Brenna	20	18	34:42
Zabłocie	20	17	36:44
Pogwizdów	20	17	29:41
Unia II	20	15	33:32
Zarecze	20	15	33:46
Sola Żyw.	20	15	31:45
Beskid B.	20	15	19:35
Radziechowy	20	10	25:51

KLASA — B

Jasienica — Polana 2:0, Komorowice — Baków 1:0, Golezów — Beskid II 3:5, Pruchna — Cieszyń II 2:5, Wapienica — Kończyce 5:2, Drogoniów — Dzięgielów 4:3, Nierodzim — Górki 4:0.

Jasienica	20	33	50:15
Cieszyń II	20	31	54:30

KLASA — C

Wapienica 20 29, Nierodzim 20 28, Polana 20 20, Komorowice 20 18, Pruchna 20 17, Golezów 20 17, Skoczów II 20 15, Kończyce R. 20 13, Baków 20 12, Drogoniów 20 10, Dzięgielów 20 9, Górki 20 9.

KLASA — C

Pogórze — Istebna 1:2, Kukuryba II — Pierscier 3:1, Cukrownik II — Hażlach 3:0, Dębówiec — Simoradz 2:0, Wiślica — Wisła 1:1, Puńców — Ochaby 3:0, Chybie II 19 33, Dębówiec 18 35, Istebna 19 37, Strumień II 19 22, Puńców 18 19, Ustron II 18 17, Simoradz 19 17, Wiślica 18 14, Hażlach 19 13, Ochaby 18 12, Piersciec 18 10, Zamarski 18 9, Pogórze 18 9.

Zebrał: Pa...



Andrzej Lubiak i Maciej Wisławski z ekipy FSM zwyciężyli podczas Rajdu Kormorana w klasie markowej Fiat 126 p. Nie powiodło się natomiast Wiesławowi Cyganowi, który w związku z awarią linii gazu ukończył rajd na dalszej pozycji. Natomiast w ub. niedzieli Wiesław Cygan wygrał w Poznaniu wyścig zaliczany do Mistrzostw Polski i prowadzi w swej klasie. Na zdjęciu: Wiesław Cygan i jego pilot Wiesław Makuch.

Z PÓŁDYSTANSU

Second service

Nie wiem który był Fibiakiem, a który — powiedzmy — Orantesem i przechodząc obok nie zwrócił bym zapewne na nich większej uwagi, gdyby właśnie nie ten fachowy zwrot: second service. Mniej więcej 8-letni chłopczek, który nim się posłużył, widocznie nie tylko oglądał w TV, ale wręcz chłonał wszystko, co działo się nie tak dawno na kortach warszawskiej Legii, bowiem termin ten mógł tylko ustyśzyć z megafonów zawieszonych nad widowiskiem (polski sprawa wozdawca nie użył go ani razu, wyłącznie sędzia główny). Przyjrzawszy się bliżej stwierdziłem, że i tutaj toczy się naprawdę szczyt (dla nich — rzecz jasna) mecz: oznaczony kolorową farbą, „kort” miał niemal prawidłową szerokość, natomiast był krótszy, a siatkę symbolizowały trzy namalowane w niewielkich odstępach linie. Zresztą: dlaczego czas przeszedł? Wspomniany

„kort”, podobnie jak położony kilkadziesiąt metrów dalej identyczny drugi, są tam nadal, jako że farba prawdopodobnie jest olejna. Gdzie? Na ulicy Akademii Umiejętności (osiedle „Złote Łany”) w Bielsku-Białej. Właśnie: nie przy ulicy, ale na niej. Konkretnie — na jezdni.

Najpierw mieszkania, a później reszta — oto zasada przyjęta przez spółdzielnię budującą nasze osiedla. Zasada jak najbardziej słuszna i nikt przy zdrowych zmysłach nie zamierza jej kwestionować, chodzi jednak o to „później” i o resztę. W interesującym nas przypadku, o osiedlowe obiekty sportowo-rekreacyjne. Byłoby dużym uproszczeniem, gorzej — bo nieprawdą, twierdzić, że nic się nie robi w tym kierunku. Nasuwa się jednak pytanie, czy spółdzielnie mieszkaniowe wywiązują się w pełni ze swego statutowego w końcu obowiązku? Place zabaw dla dzieci, a więc huśtawki, pia-

skownice czy zjeżdżalnie oraz trawniki przed budynkami nie rozwijają bowiem problemu, chociaż niewątpliwie są bardzo potrzebne. Oczywiście, doskonale znamy trudności, z jakimi boryka się budownictwo, niemniej jednak w wielu wypadkach już sama zabudowa nowo powstającego osiedla wskazuje, że ewentualny kort, czy niepełnowymiarowe boisko piłkarskie, to nie są rzeczy, którymi projektant, inwestor, nie mówiąc o wykonawcy, zamierzają się przejmować. Tak w każdym razie było w większości naszych osiedli do tej pory.

Było, ale być może — już nie będzie. Ostatnio bowiem przewodniczący Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego oraz przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki podpisali wspólne porozumienie o planowaniu, realizacji oraz eksploatacji urządzeń i obiektów sportowych w osiedlach mieszkaniowych. Oto — w dużym skrócie — zasadnicze tezy tego tak ważkiego przedsięwzięcia:

● Obowiązuje „od zaraz”, zasada równoczesnej budowy urządzeń rekreacyjno-sportowych w ogólnych ramach inwestowania i zagospodarowania terenów osiedlowych.

● Spółdzielnie mieszkaniowe oraz WKKFiT-y Urzędów Wojewódzkich zobowiązane zostały do wspólnego przygotowania planów osiedlowych zespołów rekreacyjno-sportowych na lata 1977—1980.

● Plany te będą dotyczyć zarówno osiedli znajdujących się w budowie, jak i dopiero projektowanych.

● Wspomniane obiekty i urządzenia, wchodzące w skład terenów wewnątrzosiedlowych, finansowane będą z funduszy przeznaczonych na budownictwo mieszkaniowe; obiekty większe, mające charakter międzyosiedlowy, finansowane będą przy współudziale GKKFiT, który zabezpieczy na ten cel odpowiednie kwoty w budżetach rocznych WKKFiT-ów.

● Konserwacja i utrzymanie obiektów w odpowiednim stanie technicznym należeć będzie do administracji spółdzielni mieszkaniowych. Natomiast resort kultury fizycznej i turystyki zajmie się sprawami organizacyjnymi, zapewniając również odpowiednią, fachową kadre instruktorów.

Wszystko jest więc jasne, wreszcie będzie można coś zrobić — powie optymistą. Zbyt piękne, żeby dało się w pełni zrealizować — stwierdzi pesymista i

oba, częściowo, będą prawdopodobnie mieli rację. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wprowadzenie w życie postanowień cytowanego porozumienia, ani w dziedzinie spraw ani prostą, ani trudną. Najważniejsze jednak, wreszcie doszły do „atenuacji” dwóch instytucji, które w przeszłości, władne są zmianami, co przynajmniej w naszym sposobie zasadniczo warunku rekreacji i wypoczynku w osiedlach mieszkaniowych. Dlatego też uważnie i na bieżąco przyglądać się będziemy, czy i w jakim tempie sytuacja zmienia się na lepsze.

Second service, że powrócił znów do tenisa (a jego znawcą — mam nadzieję — wybaczą mi, że wyjaśniam rzecz dosłownie im znane, lecz zwracam uwagę, że wyrażenie to nie tylko — przeciwnie — oznacza — więc second service — w wolnym tłumaczeniu — prawo zawodnika do wywołanego, do zaprania trafiającej piłki, jeśli pierwsza trafiona siatkę lub wyszła na aut, krótko mówiąc: jeśli pierwsza gryzaka była nieudana. Zatem, co zostało powiedziane w tym wyrażeniu, że zwrot ten — ciekawo wydaje się, że powrócił — jatkowo dobrze posługuje do czego zostało powiedziane w tym wyrażeniu. Miejsmy więc nadzieję, że druga piłka będzie dobra. Zatem: second service, please.

JÓZEF JELEN

OPIEKUN DOMOWY

czyli

porady praktyczne



redaguje:

crescrot

PRACE HERKULESA ZAREBY

JEST GODZINA DO! JESTEM JUŻ NA EMERYTURZE. WYSIĄDZMY NATEJ NIEWIELKIEJ STACYJCE... NIE PYTAJ O NIC.

TA WYSOKĄ GÓRĘ USYPAŁEM Z DZIUREK WYCIĘTYCH W BILETACH, W CIĄGU 45 LAT MEGO KONDUKTORSKIEGO ŻYCIA. WPROWADŹ MNIE NA JEJ SZCZYT!



MA JUŻ 120 MINUT SPÓŹNIE-NIA, A OPÓŹNIENIE MOŻE ULEĆ ZMIANIE... ALE PRZYBĘDZIE!

-TO ON, PTAK KOLEI ŻELAZNYCH! BYWAJ!!!



ON PRZYBĘDZIE! CZUWAJ WRAZ ZE MNĄ!



ŻEGNAJ, HERKULESIE...



KONIEC

SMACZNE ZDROWE

Kapusta na różne sposoby.

Pokazała się już młoda kapusta, warto więc pomyśleć o różnych sposobach przyrządzania jej. Tradycyjna parzybroda to kapusta cukrowa pokrojona w kostkę, gotowana we wrzącej wodzie do miękkości zaciągnięta zasmażką zrobioną na oliwie, margarynie albo też świeżej czy wędzonej słoninie stopionej i zrumienionej z mąką. Parzybrodę solimy, pieprzymy i doprawiamy odrobiną cukru i soku z cytryny na końcu. Podajemy ją z gotowanymi ziemniakami.

Doskonała jest kapusta z jabłkami i śmietaną. Gotujemy ją drobno poszatkowaną we wrzaku, a po chwili dodajemy starte jabłka. Kiedy jest miękka solimy, zaprawiamy odrobiną cukru i sokiem z cytryny, zaciągamy mąką rozkłąconą z wywarem, a na koniec — śmietaną. Podajemy posypaną garścią zielonej, pokrojonej pietruszki. Tak samo można przyrządzić kapustę włoską gotując ją bez jabłek, a z kminkiem. Zarówno kapustę białą jak i włoską można gotować rozkrojoną na ćwiartki (zawsze kładąc na wrzącą wodę), a kiedy jest już prawie miękka posolić. Cwiartki odczamy z wody i ułożone na półmisku polewamy tartą bułką lekko zrumienioną na margarynie. Tak przygotowana kapusta jest pożywniejsza jeśli w połowie gotowania wlejemy do niej wrzące mleko i wysypimy odrobinę cukru. Zupenie inny będzie miała smak kapusta (biała lub włoska) gotowana po uszatkowaniu z jabłkami i koncentratem pomidorowym, a na końcu zagotowana z zasmażką zrobioną z maki i margaryny czy słoninki z dodatkiem drobno pokrojonej cebuli. Zawsze można kapustę posypać posiekaną zieloną pietruszką, koperkiem, a jeśli gotowana była z pomidorami to i szczypiorkiem.

Pani Antonina Poraniewska dziś emerytowana nauczycielka, która wcześniej owdowiała, potrafiła doskonale godzić pracę społeczną w LK z wychowaniem dwojga dzieci. Dziś, kiedy dzieci już skończyły studia, opiekuje się wnukami i nadal znajduje czas na pracę w poradni prawno-społecznej. Poleca pyszne pierogi z kapusty białej. Trzeba przygotować ciasto jak na każde pierogi. Na nadzienie do nich gotujemy kapustę w ćwiartkach, odczamy z wody, drobno siekamy nożem i przesmażamy na oliwie z lekko zrumienioną cebulą, doprawiamy do smaku solą, pieprzem i suszonym grzybkami. Pierogi gotujemy na osolonej wrzącej wodzie i podajemy polane roztopionym tłuszczem.

Specjalnością domu pani Antoniny jest ciasto z galaretką i białą śmietaną. Ile waży jajka (np. 4) tyle przygotować cukru i maki. Całe jajka ubijamy z cukrem po trochu dodając maki wymieszanej ze szczyptą proszku do pieczenia. Ciasto wlewamy do tortownicy wysmarowanej margaryną, wysypanej tartą bułką i pieczemy.

WASZA GOSPODYNIA

MOJE HOBBY

6. Zdrow jak ryba...?

Jeżeli w akwarium nie będzie zbyt wiele ryb i przestrzegać będziemy rad o karmieniu czyli dawać tylko tyle, ile ryby zjedzą w ciągu kilku lub kilkunastu minut, nie będzie przy pomocy węża gumowego usunąć mul z dna a przy okazji kilkanaście litrów wody. W tej wodzie wlejemy do akwarium świeżą wodę o tej samej temperaturze. Najlepiej przefiltrujemy ją przez filtr, który również należy go wyczyścić. Następnie z przedniej szyby usuwamy glony i to wszystko. Żadnej zmiany wody! A to dlatego, że skład chemiczny krwi ryby jest ściśle powiązany ze składem chemicznym wody, w której żyje. Taka nagła wymiana wody, spowoduje śmierć ryby do wody o co prawda tej samej temperaturze, ale o innej twardości w niej zawartej, jakby człowiekowi przeloczyć krew zupełnie innej grupy. Po tym procesie biologicznego czasu woda w akwarium wskutek parowania i zachodzących w niej procesów biologicznych staje się coraz bardziej twarda i kwaśna, idealnym byłoby w tym czasie wymienić wodę w akwarium, wodą destylowaną. Jeżeli jednak przy okazji czyszczenia akwarium wymienimy ok. 20 proc. wody w akwarium, zmiany właściwości chemicznych wody przebiegają w akwarium bardzo powoli.

W akwarium, w którym żyją ryby, w każdym razie tyle że powiedzenie „zdrow jak ryba” zupełnie traci na wartości. Choroby przywlekają do akwarium przeważnie w czasie łowienia planktonu w runkach, w których hodowane są ryby. Nawet mało groźne choroby, w tropikalnych wodach, to nabywane choroby, które są bardzo niebezpieczne dla naszych delikatnych rybek. W każdym przypadku kiedy zauważymy zmiany w zachowaniu ryby: brak apetytu, kołowanie w naczyniu, owrzodzenia, należy podejrzewać rybę natychmiast odizolować umieszczając w oddzielnej albo choroba szybciej się rozwinię i rybka zginie. Można dodać do wody trochę wadzi do soli kuchennej lub nadmanganianu potasu. Jednak takie leczenie przeważnie prowadzi do śmierci rybek, być może uratujemy wówczas pozostałe ryby.

Czasami rybkę, być może uratujemy wówczas pozostałe ryby. Znaczący wpływ na zdrowie rybek ma temperatura wody. Jeżeli zaś ryby pobierają powietrze z powierzchni wody między roślinami i rybami.



Swoiste poczucie gospodarności wykazał opiekun szlucznego lodowiska przy ulicy Greczki w Bielsku-Białej. Zamiasz kłopotliwie się naprawą ciekącego od kilku miesięcy... wodociąg, wykopał rowek ściekowy i... woda cieknie spokojnie do kanału. Gratuluje my pomysłu Foto: Tadeusz Herma

SAMOTNY FOT



„SOSIENKI“ UMIERAJĄ WALCZĄC



Tym, którzy ginęli po obu stronach drutów...

6 października, a więc na dwa dni przed zaplanowaną akcją, wszystkie oddziały wyruszyły na pozycje wyjściowe. Z obozu informowano: — Sonderkommando jest zdecydowane na zbrojny opór. Termin buntu zatwierdzony.

Poprzedniego dnia wieczorem odebrano drogą radiową wiadomość, że formacje bombowców RAF dokonają nalotu na IG Farbenindustrie w nocy z 8 na 9 października. Prawie cała Europa znajduje się w zasięgu rozeległego wyżu azorskiego. Meteorolodzy nie przewidują w najbliższych dniach zasadniczej zmiany warunków atmosferycznych. Major zatarł ręce z zadowolenia i zwrócił się do Heleny Jedlińskiej — „Gusposi”:

— Widzisz, mamusiul! Wszystko układa się dobrze. Otrzymamy nawet pomoc z powietrza...

Jedlińska pokiwała głową.

— Młody jesteś, synku. Gorącą masz głowę. Czy wszystko ułoży się dobrze, powiesz mi za dwa dni...

Tak się stało, że obawy Heleny Jedlińskiej potwierdziły się jeszcze tego samego dnia. Około godziny 14 z kierunku Brzezinki dobiegł głuchy huk, a w kilku minut później — staccato strzałów z broni maszynowej. Major wybiegł przed dom. Odgłos strzelaniny poślęwał się z minuty na minutę. Od krzyżówki biegł Mietek Jedliński.

— SS otacza obóz! — mówił zadyszany. — Nie wiadomo, co się stało. Bramy zamknięte. Obie postenkiety obsadzone. W Oświecimiu alarm, od strony krematoriów słychać strzały, wybuchy granatów...

— Pospieszylisi się — pomyślał major, ale zaraz odgądział od siebie to przypuszczenie. — Niemożliwe! Nad przebiegiem wydarzeń czuwalili przecież ludzie z obozowej organizacji. A więc stało się coś nieoczekiwanego, coś... strasznego...

6 października, około godziny 13.30, za-
jeżdża przed III krematorium kilka cięż-
arówkek wypełnionych esesmanami z od-
działu specjalnego.

— Alle antreten! — wrzasnął oficer SS, ale rozkaz ten padł w próżnię. Więźniowie, sparaliżowani ze strachu, nie ruszają się z miejsca. Esesowiec próbuje bluffować:

— Ludzie! Z rozkazu najwyższych władz Rzeczy zostaniecie przeniesieni do obozu pracy! To nagroda za waszą dobrą robotę. Otrzymacie dużo dobrego jedzenia..

Nie wierzą. Esemman bezskutecznie wyczytuje numery. Tylko Węgry, najmłodsi sztafem więźniowie obozu, powodowani raczej lękiem, niż nadzieją, respektują ten rozkaz i otoczeni gromadą esesmanów opuszczają wkrótce dziedziniec krematorium. Padają następne numery. Grecy ociągają się. Z grupy Polaków słychać gniewny pomruk. Nikt się nie rusza ze swego miejsca. Esemman bezskutecznie wykrzykuje numery...

Większość Sonderkommanda zna już prawdę o losie swych dwustu towarzyszy, którzy zostali ostatnio „przeniesieni” do obozu macierzystego. Zagazowano ich w łaźni. Tego nie spodziewali się nawet doświadczeni więźniowie. Gazu było jednak dużo, mimo nieszczelnych pomieszczeń, zginęli szybko. Ale wieść o tragedii, mimo ścisłej izolacji „Stammlageru”, dołarała do krematorium, wzniciając ponownie wściekłe ogniska buntu.

Oficer SS czuje się już niepewnie. Odwraca się do towarzyszących mu esesmanów i mówi zdumiony:

— Na so was!*)

W momencie, gdy zamierza wydać rozkaz otwarcia ognia, pada mu pod nogi butelka. Następuje potworny wybuch. To jeden ze stu ładunków ekrazytowych, dostarczonych przez polskie Żydówki z fabryki amunicji „Union”. Skutki eksplozji są poważne. Kilku osesmanów leży na

zji są poważne. Kilku esesmanów leży na ziemi. Niektórzy nie żyją. W kierunku samochodów leci kolejna butelka z krazytem. Znowu gejzer ognia, znowu ofiary, krew. Buntownicy rzucają się w kierunku wejścia do krematorium. Ściga ich nacierający z tyłu kolumna esesmanów. Przed wejściem piętrzy się zwał trupów. Część Sonderkommanda znajduje jednak schronienie w krematorium. Przez okna rzucają butelki z krazytem. Esemani bezskutecznie usiłują opanować budynek...

W pewnym momencie dach krematorium unosi się w górę i pęka z ogromnym bukiem. Lecą w niebo belki, części konstrukcji, cegły. Część Sonderkommandy ginie pod gruzami. Wewnątrz szaleje ogień. Pozostali przy życiu opuszczają swą

twierdzą. Gina na progu pod ogniem c-
sesmanów.

Obsługa pozostałych krematoriów porzuca pracę. Palacze „jedyńki” opuszczają swe stanowiska i komentują wydarzenia. Pojawia się wartownik SS.

— Los! An die Arbeit, ihr Schweinehunde!**)

I grubym kijem — każdy z wartowników miał podobny kij do popędzania opieszłych więźniów — uderza jednego za palaczą w głowę. Następuje rzecz bez precedensu w historii obozu. Uczestnik tych wydarzeń, przyboczny lekarz osławionego dr Mengele, autor głośnej książki pt. „Pracownia doktora Mengele”, dr Miklos Nyiszli, tak opisuje przebieg tego wydarzenia:

(...) Od takiego uderzenia każdy padłby martwy z rozbitą czaszką, ale ten palacz był najtwardszym człowiekiem Sonderkommando. Zachwał się tylko, krew zalała mu twarz. Wyrwał się cholewy buta, długi nóż i wbił go w pierś napastnika. Ten upadłby niechybnie, ale dwóch innych palaczy było już w pogotowiu. Otworzyli drzwi czki pierwszego pieca i wrzucili esesmanka w ogień.

Wszystko to stało się w oka mgnienia, ale drupi wartownik, spieszący w stronę zbiegowiska, dojrzał chyba wystające z pieca nogi w butach. Chciał zobaczyć, kogo to w ubraniu i w butach wrzucono do ognia, mógł to być bowiem tylko ktoś z Sonderkommanda lub z SS. Nigdy z tego już jednak nie dowiedział. Ktoś skończył mu naprzeciw i zakłutł nożem, a dwóch innych wrzuciło ga zaraz do pieca, tam gdzie palił się już pierwszy esesman...

Karabiny maszynowe na wieżach wartowniczych siały spustoszenie. Z krematoriów wybiegają ludzie. Pędzą w stronę „piątki”, w stronę rachitycznego lasku. Nieliczni spośród wtajemniczonych, usiłując jeszcze ratować sytuację wołają:

— Ciąg druty! Nie ma prądu!

Ich głos ginie jednak w chaosie walki. Zajeżdżają samochody. Esemani w biegu nakładają hełmy. Tu i ówdzie dochodzi do walki wręcz. Na głowy esesmanów spadają łomy, żelazne drągi, kawałki szyn. Błyskają noże. Tylko nieliczni więźniowie posiadają broń. Zrzutowe Steny stoją się jednak szybko bezużyteczne. Brakuje 'amunicji'. Z jednej z wież strażniczych, opomowanych przez buntowników, idzie ciągły ogień w kierunku nacierających Niemców. Pęka, z ogromnym hukiem, granatowy komin 4 krematorium, płonie trójka, z sąsiednich budynków stychać gęste strzelanie. Nadjeżdżają dalsze samochody. Tu pomoc z zewnątrz. Esemani z oddziału specjalnego, zdziśiátkowani przez Sonderkommando, wycofują się z akcji. Atak świeżych sił SS idzie w kierunku lasu i V krematorium. Tu znalazła schronienie większa część Sanderkommandy. Ludzie kryją się w przewodach kominowych, w zaroślach koło „białego domu” w nielicznych zagłębieniach terenu. Sądzą, że są bezpieczni. Strach odbiera im rozsądek, paraliżuje wolę, zaślepia. Nie wiedzą o tym, że droga do wolności — jest otwarta. Że w drutach nie ma prądu. Że na drugim brzegu Wisły już dziś, choć wszystko stało się wcześniej, niż zaplanowano, czekają uzbrojeni po zęby partyzanci, że kryjówki i meliny są przygotowane na ich przyjęcie. O wszystkim miał zostać poinformowany w ostatniej chwili. Dziś zabrakło na to czasu. Więc tylko nieliczni forsują druty i klucząc przed seriami pocisków z wież wartowniczych, biegną w jasnym świetle dnia, ku Wiśle, ku wolności. W krematoriach gasną tymczasem pożary, milkną odgłosy walki. Wieczorem, na skrwawionym dziedzińcu III krematorium odbywa się apel poległych. Esemani odczytują numery z rąk zabitych. Liczą zwłoki. Ale stan nieistniejącego już Kommando nie zgadza się. Brakuje dwunastu więźniów. Później okaże się, że grupie tej udało się przedostać na drugi brzeg Wisły, ale natychmiastowy pościg uniemożliwił im dalszą ucieczkę. Schronili się w jednym z domów, którego właściciel, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie był związany z działalnością ruchu oporu. Psy doprowadzili oddział specjalny SS na miejsce. Wyczerpanych więźniów wzięto żywcem. Już na podwórzu krematorium zaatakowali oni gotymi rękami esesorców, usiłując zdobyć broń. Zgineli wszyscy.

Przewczesny wybuch powstania w krematoriach Brzezinki zastał oddziały partyzanckie na pozycjach wyjściowych i postawił kierownictwo zgrupowania przed faktem dokonany. Zabrakło czasu, aby uruchomić kanały przerzut więźniów, obsadzić punkty kontaktowe, zaimportować akcje dywersyjne, mające odwrócić uwagę Niemców od wydarzeń w obozie. Bunt stłumiono w zarodku. Zginęło stu czterdziestu pięciu więźniów, wliczając w to 12 zbiegów, ujętych na zachodnim brzegu Wisły. Zastanawiając się nad przyczyną tych wydarzeń, autorzy licznych publikacji na ten temat dochodzą do zgodnego wniosku. W pierwszych dniach października mijal czteromiesięczny termin egzystencji Sonderkommanda. Właśnie szóstego, w godzinach południowych, kierownictwo Politische Abteilung postanowiło przeprowadzić akcję likwidacyjną. Wszystkim badaczom tego tragicznego wydarzenia nasuwa się pytanie, czy gestapo zostało uprzedzone o zamierzonym buncie Sonderkommandu. Napięta atmosfera w krematoriach musiała z pewnością budzić pewne podejrzenia Niemców. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że plany operacji „Cisza” znalazły się w posiadaniu władz obozowych. Przypieszenie terminu likwidacji było więc przypadkowe. Niemcy, spodziewając się czynnego oporu Son-

derkomanda, próbowali rozpowszechniać pogłoski o zaniechaniu praktyk, stosowanych wobec zatrudnionych w krematoriach. Pierwszą 200-osobowa grupa członków Sonderkomanda uległa tej sugestii. Zagazowane w zwykłej łazni na terenie obozu nie było rzystego. Ale faktu tego nie udało się trzymać w tajemnicy. Dlatego część dwunastego Sonderkomanda została podporządkowana się rozkazom. W tym czasie wiedzi na obłudna propozycje oficerów SS — nadwł strona

Dr Miklos Nyiszli, którego książki cytowaliśmy powyżej, nie był do obozowej konspiracji. Relacje tylko to, co działo się w obrębie toriów, nie wnikając w kulisy wydarzeń i nie znając ich reperku-

(...) ...za tak wielką cenę, za tyle ludzkich nie udało się uciec z tego klętego miejsca ani jednemu nowemu wiekowi, który mógłby na wolność wiodzić światy, co tu się dzieje...

Tymczasem byli tacy, którym po-
się tego dnia ucieczka. Dwóch wzię-
to dotarło późną nocą do Burkowi-
wizowicach. Trzech dalszych Chy-
schronienie w gospodarstwie Chy-
we wsi Wola, gdzie mieścił się je-
punktów kontaktowych zgrupowa-
sienki". Nie wszystkie nazwiska zacho-
ły się w ludzkiej pamięci. Wśród wi-
wanych był natomiast były wice-
sklepu tekstylnego w Pabianicach, po-
Breitkopf, który wyemigrował po II
nie światowej do Izraela i do rola-
prowadził ożywioną korespondencję z
jorem Janem Wawrzyczkiem — „Dziś

Dr Miklos Nyiszli nie wspomniał w swoich wspomnieniach o użyciu metali w bombach i ładunkach wybuchowych do zniszczenia III Reichu. Twierdził, że było to nie do zrobienia, ponieważ nie było odpowiedniego materiału. Twierdził, że nie było możliwości zniszczenia III Reichu przez ogień. Do dziś nie ma dowodów na to, czy Niemcy użyli metali w bombach. Komander Sanderkommando w tajemnicy przed Niemcami wykonał udany atak na plan operacji „Czysta” w celu zniszczenia nowożytnych, zakopanych w ziemiach ciał, naczyni pirotechnicznych, w węgłach, w narożniku III krematorium. W wizji lokalnej, przeprowadzonej w 1945 na wniosek ówczesnego szefa WP generała Zarzyckiego oraz Głównego ZBoWiD stwierdzono, że bezek z ropą i metalem nie mógłby wodować tak rozległych zniszczeń, krematorium wykazuje widoczne działania środków wybuchowych.

[illegible]

* No coś takiego!

♦♦ Szybciej do pracy wy



Digitalizacja 2009

Zrealizowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.